Nr. 10. Lwów — Niedziela dia 14 Stycznia. Rok 1906.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego. Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi w kraju i Austryi: miesięcznie 2 k. 30 h. w Niemczech ... 3 k. w innych Państwach ... 4 k. Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. [illegible] Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie 8 h. na prowincyi 12 h. Numera z poprzedniej doby po 20 h. [illegible]

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i prenumeratę przyjmuje Administracya [illegible] ... Reklamy po kreskach wiersz petit. 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy ... 60 h.

Dziś: Imienia Jezus | Jutro: św. Maura Op. | Nowy Rok | Sylwestra | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Rękopisów Redakcya nie zwraca. | Wschód słońca o godz. 7 m. 17, Zachód „ 8 m. 50 | Długość dnia godzin 8 m. 33, Przybyło dnia od wczoraj 8 m.

Konferencya w Algecirasie.

W najbardziej południowym końcu półwyspu Pirenejskiego znajduje się głęboka zatoka Algecirasko, kształtem podobna do podkowy. Na jej wschodnim cyplu wznosi się angielska twierdza Gibraltar, a vis-à-vis niego, na cyplu zachodnim leży miasteczko Algeciras. W niem zbiorą się we wtorek przedstawiciele wielkich mocarstw, aby załatwić sprawę marokkańską, tak samo ważną dla Europy, jak sprawa turecka. Jest między niemi ogromne podobieństwo. „Są one niby skrzydła jednego ptaka" — rzekł niedawno angielski polityk Karol Dilke, rozważając trudności, jakie się nastręczą konferencyi marokkańskiej. Rzeczywiście, trudności będą olbrzymie, bo nietylko trzeba pogodzić sprzeczne interesa Francyi, Hiszpanii i Portugalii, jakkolwiek samo Marokko musi otrzymać warunki takiego istnienia, aby przestało szkodzić sąsiadom, a stało się państwem, w którem Europejczycy mogliby spokojnie handlować, ale nadto trzeba jeszcze pogodzić [illegible] niezbadane dotąd, a natarczywe dążności niemieckie, w których — tak to wszyscy czują — kryje się coś niebezpiecznego dla Francyi. Ogłoszona w Berlinie księga Biała właściwie nic nie wyjaśniła. Dowiedziano się z niej, czego Niemcy nie chcą; nie dowiedziano się, do czego dążą. Nadto zarzucono im przesadną, „wprost karygodną" lekkomyślność, z jaką uwierzyły w zapewnienia chytrych Marokkańczyków przy równoczesnej obrażliwej nieufności okazanej rządowi francuskiemu. Bo istotnie, Francya oświadczyła w aktach dyplomatycznych, że domaga się od Marokka tylko uregulowania wewnętrznych stosunków, aby ustały ciągłe napady na Algier, lecz w Berlinie temu nie uwierzono. Natomiast bez namysłu uwierzono nie aktom dyplomatycznym, ale słowom sułtana i jego ministrów, jakoby Francya nieprawnie występowała w roli pełnomocniczej Europy, a domagała się rzeczy, niezgodnych [illegible] jednym zamachem niepodległość Marokka. Taka robiona jest Francyi. Okazawszy taką nieufność Francyi, a niezasłużoną ufność Marokku, urządziły Niemcy impertynencką demonstracyę: ową podróż cesarza Wilhelma do Tangeru i te mowy, które on tam wygłosił. Z nich zwłaszcza wynikało, że Niemcy, protestując przeciw wrzekomemu [illegible] Francyi, jakoby ona posiadała [illegible] w Europie [illegible] położenie, że jakiem [illegible] Tunis, ale ani z tej podróży, ani z innych dyplomatycznych robót, ani wreszcie z księgi Białej nie dowiedziano się, do czego dążą Niemcy. Jasnem jest dla każdego, że rozpostarły one nad Marokkiem swe opiekuńcze skrzydło, więc zapytano: po co? Francuski senator i publicysta Clémenceau obliczył, że niemiecki handel w Marokku jest o połowę mniejszy od austryackiego, który znowu tak nic wielki, że Austrya wcale nie występuje przeciw francuskim robotom. Dlaczego więc uczyniły to Niemcy? Kiedy jest zagadka, to muszą być domysły. Więc oto jedni przypuszczają, że Niemcy, [illegible] przeciw Marokko, chcą się z „zberlinizowaną" Turcyą, zwłaszcza że Marokko tak samo, jak berlińską Turcyę, zwłaszcza jej posiadłości w Azyi Mniejszej. Cesarz Wilhelm, przyjaciel tureckiego Abdul-Hamida, zapragnął być jeszcze przyjacielem marokańskiego Abdul-Azisa i potem tylko zdobywać w Afryce pole nowe wszelkie przedsiębiorstwa dla swoich kapitalistów. W tem nie byłoby nic złego, chociaż drogą do tego obrano drastyczną. Lecz inni mniemają, że niemieckie plany postanowiono tak przywiązać do siebie Marokko, żeby ono rzuciło się na Algier wtedy, gdy w Europie skrzyżują się szable francuskie z niemieckiemi. Takie stworzenie Francyi dwóch frontów będzie dla Niemiec bardzo pożyteczne. Lecz jeśli tak, to niemieckie plany są jeszcze większe. Wiadomo, że cesarz Wilhelm kokietuje ze światem muzułmańskim, chce uchodzić za jedynego jego przyjaciela w Europie, chce poruszać nim podług własnej woli, a gdy się tego dobije, to potrafi cały ów świat — od Marokka do Indyi — zwrócić przeciwko Anglii, wywołać powstanie w Egipcie, Sudanie, w zatoce Perskiej i Indyach, gdzie muzułmanów 66 milionów, a wtenczas — niech Anglia spróbuje wojować z Niemcami! Takich oto planów niemieckich domyślają się w Europie i dlatego z nieufnością spoglądają na konferencyę marokkańską, która we wtorek zbierze się w Algecirasie.

Anglia już oświadczyła, że będzie we wszystkiem popierała Francyę. To samo oznajmił rząd waszyngtoński. Nieinaczej naturalnie postąpi Rosya. Dwa państwa pirenejskie łatwo się porozumieją z Francyą, a Włochy i Austro-Węgry zachowają się neutralnie. Większość zatem może się znaleźć po francuskiej stronie, ale to nic nie znaczy, ponieważ konferencya jedynie dlatego przyszła do skutku, iż z góry postanowiono, że wszystkie uchwały muszą zapadać wszystkiemi głosami. Zdarzyć się przecie może, że nie zapadnie żadna uchwała, aby w takim razie konferencya nie trwała wiecznie, z góry postanowiono, że się rozwiąże najpóźniej po sześciu tygodniach.

Wiadomo z półurzędowych oświadczeń, że Niemcy będą bardzo zgodliwie usposobione. Ale tak powiedziano nie gdzieś w bezimiennej stolicy, jeno w Berlinie, a któż może wiedzieć, co tam się mówi? [illegible] Niemcy przed konferencyą, że są nadzwyczajnie zgodliwe! Wszakże i hakata pragnie tylko zgody.

Co tedy będzie, jeśli konferencya spełznie na niczem?

Wszyscy zgodnie utrzymują, że w żadnym razie nie dojdzie do wojny z Francyą, a to poprostu dlatego, że republika żadnej nie przyjmie, choćby wyzwanie było [illegible]. Francya stale woła „Pokój!" — Niemcy również mówią „pokój", lecz po chwili dodają „ale honorowy". Jasną więc jest rzeczą, że [illegible] Francya zatknie [illegible], jak się wyraził Karol Dilke. Ale nastąpi zapewne rzecz większa: oziębłość w stosunkach francusko-niemieckich i to będzie fakt, który „pocznie rzucać cień przed siebie", to znaczy spowoduje pewne wypadki. Jakież one być mogą?

Były gubernator kameruński dr. Peters, [illegible] wielka powaga w kwestyach kolonialnych, ogłosił teraz rozprawę po angielsku i niemiecku, — rozprawę „wielce zajmującą" zdaniem prasy berlińskiej, i zaszczycili rozprawy przekładem na język angielski, pod tytułem „Co będzie?" — rozprawę p. t. „Co będzie?" — a w niej dowodzi, że jakaś fatalistyczna potęga pcha Niemcy i Anglię do wojny, jeżeli zaś sprawa marokańska nie będzie załatwiona pomyślnie i jeżeli wskutek tego Niemcy zdobędą w tym sułtanacie stanowisko opiekuńcze, to już owa wojna stanie się nieuniknioną. Można będzie tylko zgadywać, kiedy wybuchnie, że ale wybuchnie, to nie ulega bynajmniej wątpliwości. I jest to najprawdopodobniej, że zajęcie przez Niemcy silnego stanowiska w azyatyckiej Turcyi, stanie się nieuniknioną po zajęciu przez nie takiego samego stanowiska w Marokku, bo Anglia nie może przecież pozwolić, aby takie nie muzułmańskie bieguny elektryzowały świat muzułmański, dobrze poddany Anglii w Egipcie, Sudanie i nad brzegami morza Czerwonego. Wszakże to grozi upadkiem wielkobrytańskiego panowania od Gangesu do Gibraltaru i od Kairu do Transwaalu. A jakie przypuszczalnie będzie wynik tej wojny? Dr. Peters powiada: „Mówił o niej Bismark jako o walce słonia z wielorybem, czyli jako o rzeczy niemożliwej. Teraz jużby tego nie powiedział, bo posiadamy dużo zamorskich kolonij. Są one w Oceanii, w Azyi i Afryce, — doprawdy, obawiam się, czy nie za dużo ich mamy. Wojna tedy może być równocześnie lądowa i morska, obejmująca kontynenty i oceany całej kuli ziemskiej. Anglia wszędzie jej sprosta, tylko nie w Europie; my sprostamy w Europie, ale nigdzie więcej. Łatwo więc z góry obliczyć, jaki będzie jej wpływ na nasze życie ekonomiczne i jakie koniecznie wywoła przesilenia socyalne, a może przewroty. Wszakże 15 milionów obywateli niemieckich żyje w naszych koloniach i z nich się utrzymuje, jasną więc jest rzeczą, że takiej straty nie zniesiemy bez ogromnych kurczów. Oczywiście, 60 milionów Germanów nie umrze z takiej rany, choćby ona sięgała głęboko, ale przez gorączkę oni przejdą. Straciwszy zamorskie „pastwiska", obejrzą się Germanie za bliższemi, które posiąść muszą, aby żyć. Więc kiedy sztandar angielski pocznie powiewać nad Kiao-Czau i Dar-es-Salam, nad archipelagami Bismarka i Maryańskim, nad Swakopmudem i Angrą-Pequeną, wówczas orzeł niemiecki może zatrzepocze skrzydłami na wieżycach Kopenhagi, Amsterdamu, Rotterdamu, a kto wie, może i francuskiego Brestu! Zwłaszcza Dania, jako stróż Sundu, nie potrafi zachować swej neutralności podczas takiej walki na śmierć lub życie. Ale oprócz Germanów, komuż się podoba taka zmiana karty europejskiej? Dlatego po takiej wojnie bezpośrednio byłaby druga, trzecia — daj Boże aby tylko jakaś nowa siedmioletnia!"

I kończy dr. Peters tak: „Cesarz Wilhelm — to rycerz; słowom jego trzeba wierzyć. Kiedy on mówi, że jest jego obowiązkiem zachować pokój, ufamy temu bezwzględnie. Ale on dodaje: „pokój — honorowy", to zaś bardzo rzecz zmienia, ponieważ to, co dla niego honorem, dla Anglii będzie interesem. Dlatego trzeba głośno wołać: Ostrożnie z Marokkiem!"

Z przytoczonych zdań widać, że politycy przywiązują wielką wagę do konferencyi marokkańskiej. Dlatego niezawodnie będą bardzo oględni i pewnie załatwią ją pomyślnie.

Sprawy traktatowe.

Z Wiednia donoszą nam, że narada obu prezesów gabinetów i ministrów austryackich i węgierskich, która pod przewodnictwem hr. Gołuchowskiego odbyła się 10-go b. m., zakończyła się postanowieniem, iż nowe traktaty handlowe i taryfy celne bezwarunkowo wejdą w życie dnia 1-go marca. Jako przyjęte przez Radę państwa, będą one po sankcyonowaniu ich przez Cesarza ogłoszone w Austryi zwykłym sposobem w dzienniku ustaw państwa. Na Węgrzech nie nastąpi to ogłoszenie, ponieważ Sejm peszteński spraw tych nie załatwił, a Fejervary nie chce obciążać siebie jeszcze jednym zarzutem koalicyi, jakoby rządzi niekonstytucyjnie. Fejervary wyraził nadzieję, że może przed 1-ym marca zatarg będzie usunięty i koalicya stanie u steru, a wtedy będzie mogła natychmiast zwołać sejm i przedstawić mu do przyjęcia zarówno traktaty, jak taryfę celną, co będzie równoznaczne z utrwaleniem na nowy peryod unii celnej austro-węgierskiej. Stać się to może jeszcze przed 1-szym marca. Dlatego właśnie Fejervary zamierza nie ogłaszać tych ustaw, lecz tylko poufnie zawiadomić węgierskie urzędy celne, jaka jest nowa taryfa, aby one mogły zawczasu ją wystudyować. Tak swego czasu postąpił hr. Stefan Tisza z prowizoryum celnem z Włochami. — W każdym razie uchwała obu gabinetów, powzięta 10-go b. m., jest już obowiązująca dla Austryi i Węgier na następne dziesięciolecie. Przez ten czas one pozostaną ze sobą w takim ekonomicznym stosunku, jaki powinien trwać na mocy ugody z roku 1867-go. Wspólność celna i finansowa jest zapewniona na dziesięć lat. Stała się więc rzecz ważna politycznie i ekonomicznie.

Nadzieje Fejervary'ego na porozumienie koalicyi z Koroną są usprawiedliwione tem, że przed paru dniami sami wodzowie koalicyi zgłosili się do byłego ministra p. Lukacsa z propozycyą wdrożenia poufnych układów. A trzeba wiedzieć, że w grudniu one się urwały na punkcie militarnych wymagań koalicyi. Widocznie więc ona uznała, że tu bez rezygnacyi z jej strony obejść się nie może. Tu ważny jest jeszcze jeden szczegół. Oto, po naradzie z Kossuthem, Apponyi'em i Banffym, wyjechał hr. Andrassy do Wiednia pokryjomo, aby uniknąć dziennikarskiego rozgłosu, który często szkodzi. W Wiedniu odbył naradę z ministrem wojny jenerałem Pitreichem, poczem wrócił do Pesztu. Głoszą, iż koalicya postanowiła odłożyć na szereg lat swe militarno-narodowe żądania. W takim razie zgoda jest łatwa.

Korespondencye.

Wiedeń 12 stycznia.

(*Agitacya protestancka przeciw katolickim modlitwom w szkołach. Bunt dzieci szkolnych w Maria Scharten w Austryi Górnej*).

(y). W miejscowości Marya Scharten w Austryi Górnej zdarzył się wypadek, przypominający cokolwiek głośną przed kilku laty sprawę polskiej dziatwy szkolnej we Wrześni, aczkolwiek w skutkach swych nie tak tragiczny. Analogia zachodzi o tyle, że jak we Wrześni, tak i tutaj dzieci szkolne stawiły opór zarządzeniom władzy szkolnej, obrażającym ich uczucia religijne, tylko, że za Wrześnię sądy pruskie w sposób iście barbarzyński ukarały rodziców „buntujących się" dzieci, podczas gdy w Maria Scharten niewątpliwie dzieci katolickie odniosą zwycięstwo.

Przebieg tej niezmiernie zajmującej sprawy, stojącej w związku z nienawistną propagandą „Los von Rom" jest następujący: Od dawna już czynią wszechniemcy i socyaliści usilne starania o to, aby wyrugować modlitwę katolicką ze szkół w Austryi Górnej. Zabiegi te widoczne są zresztą i w Wiedniu, a jak wiadomo zawiązało się tu nawet osobne stowarzyszenie pod nazwą „Freie Schule", na czele którego stoi radzca Dworu w Trybunale administracyjnym, Hock, którego celem jest odebrać szkołom wszelki charakter wyznaniowy, a więc przedewszystkiem pousuwać krucyfiksy z sal szkolnych, skasować modlitwę szkolną, spowiedź uczniów i wogóle wszelkie praktyki religijne. W radzie miejskiej Lincu, stolicy Austryi Górnej, posyskali wrogowie religii katolickiej większość, która przed kilku miesiącami powzięła uchwałę, iż ponieważ do szkół miejskich uczęszczają dzieci rozmaitych wyznań, przeto nie należy w nich odmawiać modlitw katolickich, lecz należy ułożyć nową, ogólną modlitwę, któraby odpowiadała wierzeniom religijnym zarówno katolików, jak protestantów i kalwinów. Wybrano nawet osobną komisyę, która miała zredagować tę nową uniwersalną modlitwę szkolną. Uchwała ta linckiej rady miejskiej wywołała niesłychane oburzenie w całym kraju, którego ludność jest szczerze katolicką. Ze wszystkich stron kraju posypały się tedy protesty, biskup lincki X. Doppelbauer wystąpił również energicznie w obronie pogwałconych praw religii katolickiej i ostatecznie Namiestnictwo zniosło ową gorszącą uchwałę linckiej rady miejskiej.

Uspokoiły się tedy wburzone umysły ludności katolickiej, wszelako spokój ten trwał bardzo krótko, bo krzewiciele protestantyzmu chwytają się nowych sposobów, by ubocznemi drogami dopiąć swoich celów. Oto z namowy pastorów nawet w takich miejscowościach, w których obok katolickich są także szkoły protestanckie, posyłają protestanci swoje dzieci do szkół katolickich i następnie wnoszą do władz zażalenie na to, że ich dzieci zmuszane są do odmawianie katolickich modlitw, a powołując się na ustawy zasadnicze i na reskrypt ministeryalny z 26 lutego 1888 domagają się takiej zmiany modlitw, aby one „nie raziły" protestanckich uczuć religijnych. Wypadek taki zaszedł właśnie w Maria Scharten, gdzie jest i katolicka, i protestancka szkoła. Tamtejszy pastor luterski sam zapisał swoją córeczkę do szkoły katolickiej i wniósł do krajowej rady szkolnej zażalenie przeciw temu, że dziecko jego zmuszone jest odmawiać modlitwy katolickie. Rada szkolna wydała tedy uchwałę tej treści, że w tych klasach, do których obok katolickich uczęszczają także protestanckie dzieci, należy zaniechać odmawiania „Ojcze nasz" i „Zdrowaś Marya", a tylko przed rozpoczęciem lekcyi odmówić ogólnikową modlitewkę „Przybądź Duchu święty", a po ich skończeniu takie samo uniwersalne westchnienie „Ojcze pobłogosław te nauki".

Zarządzenie to dało powód do zaburzeń wśród dziatwy szkolnej. Gdy przed kilku dniami nauczyciel szkoły w Maria Scharten zapowiedział, że odtąd nie będzie się odmawiało ani „Ojcze nasz", ani „Zdrowaś Marya", dzieci wybuchnęły w pierwszej chwili płaczem. Nazajutrz zaś domagały się natarczywie przywrócenia dawnych modlitw i wołały: „Nie damy się zlutrzyć. Niech sobie tamte (tj. luterskie) dzieci idą do swojej szkoły. Wyrzucić je stąd". I istotnie starsi chłopcy i dziewczęta zabierali się już do wyrzucenia z klasy luterskich dzieci i tylko z trudem udało się nauczycielowi odwieść je od tego zamiaru. Za to jednak nie zważając na zakaz rady szkolnej, odmawiają dzieci same bez udziału nauczyciela przed nauką i po nauce swe ulubione modlitwy „Ojcze nasz" i „Zdrowaś Marya". Rada szkolna jest teraz w wielkim kłopocie i nie wie, co począć z tym fantem.

Co i o czem piszą.

O teraźniejszych stosunkach wiejskich w Królestwie Polskiem doskonały daje obraz opowiadanie pewnego ziemianina, zamieszczone w *Czasie*. Przedstawia nam ono skutki wichrzeń, szerzonych przez partye socyalistyczne wśród wieśniaków, a zwłaszcza wśród służby folwarcznej, która wobec delegatów rozmaitych komitetów socyalistycznych, włóczących się po wsiach i podburzających ją przeciw właścicielom dóbr, zachowuje ślepy posłuch.

Jest to — czytamy w *Czasie* — po części skutek oszukańczych obietnic, po części terroru, który stanowi przykład i budzi w ludzie najgorsze instynkta. Trudno mieć wyobrażenie, do czego dochodzi okrucieństwo t. zw. „samosądów", na których istnienie składa się znów rozprzężenie i [illegible] pętanie ogólne — przygotowane przez czterdziestoletnią gospodarkę biurokracyi. Chłop wie dobrze, iż czynownik małego miasteczka jest często cichym wspólnikiem bandy złodziei, koniokradów itd. itd. i że za pewną opłatą bandy takie mają bezkarność. Z drugiej strony propaganda nienawiści budzi instynkta okrucieństwa. I tak dochodzi do dzikich „samosądów" nad schwytanymi złodziejami, lub — co gorsza — nad ludźmi, posądzonymi tylko, często niesłusznie, o wspólnictwo lub przechowywanie skradzionych rzeczy. Wiem sam o przypadku, w którym podejrzanemu o złodziejstwo przybito ręce gwoździami do stołu. Innemu połamano ręce, jeszcze innego wsadzono na widły, a innego bito po piętach, aby się przyznał.

Pewien gajowy kupił na targu krowę. Otóż przyszli chłopi ze wsi, odległej o kilka mil, gdzie niedawno skradziono kilka sztuk bydła. Okazało się, że krowa ta pochodzi z kradzieży. Darmo biedak tłómaczył się, że kupił krowę na jarmarku. Schwytano go, skrępowano i obito bez litości. Wieś, z której gajowy pochodził, oburzyła się na to i postanowiła go odbić. Wówczas dopiero zgodzili się napastnicy, aby podejrzanego odprowadzić do sędziego. Tam okazało się, że biedak jest zupełnie niewinny, że kupił krowę za normalną cenę, nie wiedząc, że skradziona. Na ogół jednak złodziejstwo szerzy się teraz więcej. Ogólny zamęt dodaje opryszkom śmiałości, zwłaszcza gdy widzą tolerancyę władz dla agitacyi rozruchów i grabieży. Tłómaczą to sobie bezsilnością... i biorą się do „pracy". Nikt nie może mieć wyobrażenia o zuchwal-

---

1)

Jak długo trwa miłość?

(Z niemieckiego).

Już czas! Z pośpiechem spojrzała w lustro, czy kapelusz prosto siedzi i czy ten uparty kędziorek kasztanowatych włosów nie wysunął się z pod niego! Nie dlatego, żeby jej z tem było brzydko, ale że taki zalotny wabik był niewłaściwym dla osoby, liczącej trzydzieści pięć lat.

A właśnie, że się wysunął i sięgał prawie aż do brwi. Drobna ręka właścicielki wsunęła go żywo na miejsce.

— Rękawiczki? — ach tak, tu na stole. Parasolka? — tam przy oknie. Czy to już wszystko? Zdaje się, że tak. Nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby czego zapomniała. Serce jej biło takiem radosnem oczekiwaniem!

Gdy wyszła z mieszkania, służąca zamknęła za nią drzwi i powróciła do swojej roboty, chwiejąc głową, jakby uderzona czemś niezwykłem. Co się to stało, że jej pan wyjechała dziś na cały dzień z domu! Musi to stać zapewne w jakim związku z listem, który odebrała rano. Przeczytawszy go, tak wyglądała uradowana, że gdyby była trochę młodszą, toby można było myśleć, że się jej ktoś oświadczył, lub coś podobnego. Doszedłszy do tego wniosku, dziewczyna zaczęła szukać tego listu w saloniku i sypialni swej pani, ale go nie znalazła.

Malwina Hadryan tymczasem lekkim krokiem śpieszyła na dworzec kolei. Było wprawdzie jeszcze dość czasu, ale obawiała się, że dziś właśnie mogła ją opóźnić jaka nieprzewidziana przeszkoda. Przed samym dworcem spotkał ją jeden z jej znajomych i przywitał, uchylając kapelusza.

— Czy pani gdzie jedzie, czy też oczekuje jakich gości? — zapytał.

Malwina zarumieniła się, jakkolwiek to zapytanie nie dawało do tego powodu.

— Jadę tylko do Buchberga, gdzie mam się spotkać ze znajomymi, — odpowiedziała i pożegnawszy go skinieniem głowy, wbiegła na peron.

Znalazła próżny wagon drugiej klasy i ukryła się w nim, szczęśliwa, że już nikt więcej jej nie zaczepił.

Ktoby w tej chwili ujrzał Malwinę, gdy rozpromienionemi oczyma patrzała na mijane krajobrazy, wcale ich jednakże nie widząc, ten z pewnością chętnieby na niej wzrok zatrzymał.

Uderzająco ładną nie była może nawet i dawniej i nie wyglądała też młodziej niż jej lata, ale i nie starzej, a w tym wieku można być jeszcze bardzo przystojną. Wysmukła, zgrabna, iście dziewicza postać, czysta i świeża cera, pięknie zarysowane usta pełne wyrazu, ciemno brązowe oczy o jasnem, pełnem dobroci spojrzeniu i takież, nieco jaśniejsze, trochę fantazyjnie falujące włosy, składały się na dziwnie miłą całość. Ale nie była to już owa urocza młodość. Tu i owdzie zarysowała się już jakaś delikatna zmarszczka i owal stracił potrosze swą pełność młodocianą. Lecz najbystrzejsze oko nie byłoby dostrzegło w jej twarzy najlżejszego śladu jakiegoś sztucznego upiększenia. Znać było na pierwszy rzut oka — i to właśnie taką ufnością względem niej przejmowało, że to była obca wszelkiemu fałszowi, z gruntu prawa natura.

Po chwili Malwina zdjęła rękawiczki, sięgnęła do złotego łańcuszka, który nosiła na szyi, wyciągnęła z za gorsu złoty pierścionek i włożyła go na czwarty palec prawej ręki. Była to skromna, bez żadnych ozdób obrączka, znać przytem na niej było, że nie była nowa. Malwina popatrzyła na nią z uśmiechem i lekko skinęła głową.

Ta obrączka już dawno powinna była zająć to miejsce, od lat bowiem jedenastu Malwina nosiła ją na szyi.

Wszystko to było jej tak przytomnem w tej chwili, jakby się wczoraj stało. W piękny wieczór letni o zmierzchu uderzająca woń kwitnących jaśminów i narcyzów unosiła się w powietrzu. Stała w ogródku u białych sztachet ogrodzenia, naprzeciw niej, zewnątrz ogródka stał Henryk Folker. Płakała, a on wtedy włożył jej na palec pierścionek, którego jednakże do pewnego czasu nie miała nosić, gdyż Henryk miał się udać właśnie na sześć miesięcy do Ameryki, dla uporządkowania filii rozległego przedsiębiorstwa swego ojca.

Tymczasem z sześciu miesięcy zrobiło się jedenaście lat — nie z jego winy, ani z jego woli. Stało się to z przyczyny niezależnych od niego okoliczności. Interesa okazały się na miejscu daleko bardziej zawikłane, niż z początku przypuszczano, a gdy Henryk zaprowadził w nich porządek, potrzebowały przez pewien czas zdolnego i doświadczonego kierownika. Okoliczności wciąż zmuszały Henryka do oddalania daty swego powrotu, tak, iż wciąż pobyt swój uważał za tymczasowy. A narzeczona czekała na niego w kraju; umówili się zaś oboje, że ich zaręczyny odbędą się „zaraz" po jego powrocie. Ale wtem umarł ojciec Henryka, matka już dawno nie żyła, a młodszy brat, który miał go zastąpić, musiał zająć miejsce ojca na czele ich domu handlowego w kraju.

Rodzice Malwiny także w ciągu tych lat spoczęli na cmentarzu, dziwnem więc byłoby ogłaszać wówczas podobne zamiary, bez oznaczenia równocześnie dnia ślubu.

Henryk i Malwina pozostali niezmiennie wiernymi sobie. W pewnych oznaczonych terminach stale pisywali do siebie, donosząc sobie wzajemnie o wszystkiem, co się ich tyczyć mogło.

Z listów Henryka czuć było, że nic nie miał na sumieniu wobec swej narzeczonej. Bo i sam nawał pochłaniającej pracy chronił go zresztą od wszelkiej pokusy. We wszystkich jego listach brzmiała silnie struna szczerej, głębokiej tęsknoty za ojczystym krajem i własnem ogniskiem domowem.

Malwinę z początku trawiła okrutna tęsknota; z czasem dopiero uspokoiła się nieco, a długa rozłąka pogłębiła tylko jej miłość i bardziej duchowem uczyniła to uczucie. Oboje przytem, wskutek nieprzerwanej wymiany myśli, nie odwykli od siebie, a każde z nich zachowało niezachwianą wiarę w charakter i niezłomną wierność drugiego.

Teraz nareszcie skończył się czas próby. Człowiek, który wyjechał na sześć miesięcy, powracał do kraju po jedenastu latach.

Malwina przez ten czas nie wyczekiwała bezczynnie. Odziedziczyła dom po rodzicach, a posiadając odpowiednie uzdolnienie, założyła w nim szkołę robót oraz sztuki stosowanej dla ubogich dziewcząt, którym bezpłatnie udzielała nauki.

Pomimo całego szczęścia, jakiem ją przejął powrót ukochanego, nie mogła stłumić jakiegoś cienia żalu na myśl, że będzie musiała zaprzestać pracy, która tyle pożytku przynosiła. Nie mogło być inaczej, gdyż ona teraz wyjdzie za mąż i nie wiedziała jeszcze, gdzie z mężem zamieszka.

Miała dziś zjechać się z Henrykiem w Buchbergu i tam wszystko z nim obmyśleć, o wszystkiem się wspólnie naradzić. Ztamtąd miał on udać się o kilka stacyj do swego rodzinnego miasta, do brata, aby z nim rozmówić się o interesach, ślub miał nastąpić w jak najkrótszym czasie. Nie mogła go opóźnić wyprawa, od tylu lat gotowa, że bielizna prawie pożółkła w szufladach, wiek też obojga narzeczonych usprawiedliwiał pośpiech. Henryk liczył obecnie czterdzieści lat, Malwina była o pięć lat młodszą: oboje nie byli dziećmi, kiedy się zaręczyli.

(Ciąg dalszy nastąpi).

stwie opryszków i „czarnych sotni“, na które czynownictwo patrzy przez palce. „Czarne sotnie“, to przecież najlepsze antidotum przeciw buntowaniu się „panów i xięży“. Przytem, ze stanowiska ludzi napadanych, dodam, że trudno odróżnić działalność „czarnej sotni“ i bandytów, którzy rewolwerami wymuszają pieniądze — od działalności „legalnej“, która polega na „zbieraniu składek na cele partyjne“. Zdarzył się naprzykład taki wypadek: Na dwór, w biały dzień, napada kilku ludzi z rewolwerami. Żądają pieniędzy... dostają. Następnego dnia podobna scena: pięciu „komitetowych“ zjeżdża na obiad i żąda pieniędzy. Usłyszawszy, że kieszeń już wypatroszona, oburzają się wielce na „rabusiów“, którzy „nadużyli firmy partyjnej“ i obiecują pomścić się na nich za takie łotrostwo, które „plami partyę“. Odjeżdżają; w kilka dni potem rozchodzi się po okolicy głucha wieść, że „partya“ zrobiła już porządek z „oszustami“, ukarała ich, ba, znalazła nawet część pieniędzy i zwróciła obrabowanym. Nie potrzebuję dodawać, iż naprawdę zabranych pieniędzy właściciel nigdy już więcej nie zobaczył... Dodam tylko, że podczas napadu na pewną plebanię w okolicy zginęło paru rabusiów i okazało się, że przedtem jawnie podawali się za agitatorów socyalistycznych.

Wobec tego, że władze zachowują się w tych wypadkach całkiem obojętnie, odbywa się obrona przeciw „czarnym sotniom“, opryszkom i wyzyskowi partyjnemu w ten sposób, że uzbraja się służbę po dworach, zwiększa liczbę nocnych stróżów... Gdzieniegdzie socyaliści podburzają chłopów do wycinania drzew po lasach; trzeba więc wzmacniać służbę leśną, której znowu grożą „czarne sotnie“ opryszków, włóczących się po lasach. Gajowi chodzą razem po trzech i czterech, aby stawić czoło bandzie. My zaś jedziemy w nocy nie inaczej, jak uzbrojeni od stóp do głów. Interesujące bywają takie podróże... Wyjeżdża się za bramę, z rowu zrywa się kilku ludzi; jeden z latarnią, wskakuje na stopień powozu i świeci mi w twarz.

„Nie, to nie ten!“

Jedziemy dalej. Znowu grupa ludzi, z których jeden odrywa się od gromady i sięga po cugle. Wymierzam rewolwer... ucieka. Za chwilę krzyki i odgłos bicia: to gromada chłopów trzyma złodzieja i bije go na śmierć... Mijamy ich, jęki cichną... Ale w najbliższej wsi ta sama scena, tylko delikwentów czterech, czy pięciu. I tak jedziemy aż do domu, gdzie wita nas samoobrona, złożona ze stróżów nocnych i służby...

Chaos, bezprawie, gwałt, dziczenie, oto skutki agitacyi socyalistycznej, rezultat zakusów międzynarodówki o polską wieś.

• • •

Znany dziennikarz, p. S. Smólski, opowiada w *Nowej Reformie* zajmujące szczegóły o Inflantach polskich. Kiedy po r. 1660 Polska odstąpiła Szwecyi główną część Inflant z miastami: Rygą, Dorpatem, Wendenem etc., odtąd dla odróżnienia poczęto nazywać jedne Inflanty polskiemi, drugie szwedzkiemi. O tych więc polskich Inflantach (Livonia Polonica) opowiada p. Smólski co następuje:

Inflanty polskie obejmują cztery powiaty: Dynaburg, Rzeżyca, po łotewsku: Rejzieknie, po niemiecku: Rositen, po rosyjsku: Rjeszica; Lucyn, po łotewsku: Łudza, po niemiecku: Ludsen, po rosyjsku: Lucin, i Marienhaus. Stolicą jest Dynaburg, dawna siedziba wojewódzka. Posiadają one obszaru 15.142 kilometrów kwadratowych z ludnością około 300.000 dusz. Ludność przeważnie łotyska po wsiach. W miasteczkach i miastach: Polacy, Rosyanie, Niemcy i żydzi. Prócz wsi czysto łotyskich są też nieliczne osady Rusinów, rosyjskich staroworców, [illegible] rem Polski schronili się tutaj przed prześladowaniami w Rosyi, znalazłszy przytułek i opiekę, i Polaków, którzy w powiecie rzeżyckim w dobrach Warklawny tworzą 4 wsie, mianowicie: Masaliście, Puszcze, Szczuck i Dziegciorówka. Polska szlachta zagrodowa i tak zwani „jednodworcy“ rozsiani są po wszystkich czterech powiatach. Możną była na tej ziemi szlachta pierwotnie pochodzenia niemieckiego, następnie spolszczona. Słynie ona w dziejach Polski. Niektóre rody tej szlachty utrzymały się do czasów obecnych. Do najstarszej szlachty inflanckiej należą rody: Tyzenhauzów, Korffów, Borchów-Lubeschütz, Manteuffelów-Szwege, Ryków, Broel-Platerów, Hylcenów, Romerów, Zybergów, Viettinghofów i inne. Do rodów szlachty inflanckiej, później za czasów polskich tu osiadłych, należą: Benisławscy, Bujniccy, Czapscy, Karniccy, Gąsiewscy, Sołtanowie, Iłgowscy, Weyssenhofowie, Bujwidowie, Chotkowscy, Sokołowscy, Wereszczyńscy i inni.

Powstanie łotyskie, do którego przyłączyli się Estowie, obejmuje całe Inflanty (Liwlandyę dzisiejszą i Polskie Inflanty), Kurlandyę i Estonię, czyli wszystkie trzy rosyjskie prowincye baltyckie i część gubernii witebskiej, a więc obszar 109.742 kilom. kwadr. z ludnością przeszło 2·7 milionów dusz.

Ze Starego Sącza do Szczawnicy.

Stary-Sącz, stary nietylko *de nomine*, ale i *de origine*. Stare mury klasztoru S-tej Kingi (Klarysek) z przepiękną sygnaturką na kościele, stare zabytki w kościele parafialnym i staroświecka struktura domów mieszczańskich, mówią ci, że to miasto „nie dzisiejsze“. Nie znam historyi tego ładnego i wzorowo czystego zakątka i wątpię, czy łatwo jest dowiedzieć się co o jego przeszłości, a przynajmniej czy tak łatwo jest o to w samym Starym-Sączu. Mogłoby zaś być łatwem, gdybyśmy za granicę jeździli po to, aby lepiej poznać... swój kraj. W niemieckich stronach każde miejsce kąpielowe ma swój sumiennie i mądrze ułożony przewodnik, gdzie znajdziesz krótki, ale treściwy opis pobliskich, godnych wzmianki miejscowości. A wszak w pobliżu Starego-Sącza mamy Szczawnicę, Żegiestów i Krynicę, a w sinej dali Zakopane. A czy taka Szczawnica ma jakie przewodniki? Nic o tem nie wiem, wiem zaś tyle, że w „kurhauzie“ w w Szczawnicy nie znajdziesz ani przewodnika, ani mapy miejsca kąpielowego i okolicy, ani nawet listy gości. Po cóż więc jeździmy za granicą? Aby się przed swymi chwalić cudzem, a przed cudzymi wstydzić swego.

Gdyby jaki Niemiec lub Anglik w drodze nie do naszych miast, ale do Pesztu lub Szmeksu via Tarnów-Orlo jakimś dziwnym przypadkiem zatrzymać się musiał w Starym-Sączu i gdyby jakiego inteligentnego mieszkańca tegoż miasta zapytał, z jakich czasów pochodzi miasto, klasztor i kościół parafialny, ręczę, że pozostałby bez odpowiedzi. Na samą myśl o tem wstyd nas przejmuje. Bądźmy jednak spokojni — nie spotka nas ten despekt. Do nas nikt nie jedzie. Wszak my dotychczas nie mamy jeszcze niemieckiego przewodnika po Krakowie. Nie dajemy znać o sobie.

A zatem Stary-Sącz to miasteczko co do wielkości i znaczenia równające się wschodnio-galicyjskim Mościskom, a nawet o tyle od nich pośledniejsze, że nie ma w niem starostwa. O ileż jednak wyżej stoi ono od Mościsk pod względem porządku, czystości i regularności ulic. Czuć tu już zachód. Wymieciono śmiecie, ale pozostawiono naszą szczerość i gościnność, co się najlepiej uwydatnia na klasztorze św. Kingi. Rządy tego czysto polskiego zakonu żeńskiego spoczywają od kilku lat w ręku ksieni Łucyi Heidinger, bardzo inteligentnej administratorki. Pod jej kierownictwem zmienił się klasztor nie do poznania, ale tak szczęśliwie, że duch polski pozostał nietkniętym, otrzymał on jedynie delikatniejszą, zastosowaną do obecnych czasów oprawę. Szczere, serdeczne panny Klaryski utrzymują przy klasztorze szkołę dla dziewcząt, a zeszłego roku założyły u siebie prywatne seminaryum żeńskie. Tak w szkole jak i w seminaryum uczą zakonnice z wyższem nauczycielskiem wykształceniem. Seminaryum polecić się godzi wszystkim tym, którzy pragną wykształcić córki swoje nie tylko w naukach do zawodu nauczycielskiego potrzebnych, ale i w duchu patryotycznym, prawdziwie religijnym, wolnym od bigoteryi.

Stary-Sącz to ostatnia stacya kolejowa dla tych, którzy dążą do Szczawnicy, oddalonej stąd o 42 kilometrów drogi kołowej. Tych kilkadziesiąt kilometrów to największa zła strona Szczawnicy i może główna przyczyna jej obecnego upadku. Tyle mil trząść się choćby najwygodniejszem „landem“ wśród kurzu unoszącego się z pod kopyt końskich i kół powozu odstraszyć może nawet najzdrowszego, a cóż mówić o tych, których lekarze szlą do Szczawnicy dla oczyszczenia i wzmocnienia ich słabych płuc. Sądzę, że zaprowadzenie między Starym-Sączem a Szczawnicą czy to kolei, czy tramwaju, czy choćby samochodów jest pierwszym warunkiem podniesienia tego miejsca kąpielowego.

Nim to jednak nastąpi, godzić się musimy na powozy i landa, jakoteż z Jaskółkami, Warusiami i innymi przewoźnikami. Mnie wziął Jaskółka. Ze Starego-Sącza wyruszyliśmy o 9 rano. Dzień był chłodny. Od czasu do czasu wyglądało wprawdzie słońce, ale z poza zimnych chmur. Ze Sącza jedzie się najpierw ku zachodowi rozległą równiną z trzech stron górami zamkniętą.

Jechałem w dzień niedzielny, więc po drodze mijałem gromadki ludu idącego na nabożeństwo. Typ ludu wcale odmienny od wschodnio-galicyjskich chłopów. Mężczyźni ubrani w krótkie brunatne guńki szeroko wyszywane w kolor czerwony. Kobiety w czerwonych spódnicach i czerwonych stanikach. Twarze chłopów zbabczone, wąsy golone, a oczy zamrzałe. Lud nierosły, ale krępy i zgrabny. Minąwszy gminę Mostki, wjechaliśmy w ulicę zabudowaną po obu stronach „kamienicami“ tj. domami murowanymi jednego typu z murowanemi bramami. Na domach czerwieni się świeża dachówka. Jaskółka poucza mnie, że to Gołkowice Niemieckie, kolonia, która na wiosnę tego roku zgorzała. „Szwaby“ wynieśli się już do Prus, powiada, z wyjątkiem trzech, co się jeszcze zostali. Ich miejsce zajęli nasi.

Koloniści poszli na obronę „zagrożonych“ wschodnich kresów Niemiec. Opuściło ich niemało nasz kraj w ostatnich czasach. Czy szkoda ich? Tak, pomyślałem. Oni nauczyli tutaj swoich sąsiadów, a naszych chłopów racyonalnej gospodarki, ładu i oszczędności, [illegible] nym obywatelem i rozumnym patryotą.

Za kolonią skręcamy ku północy, przejeżdżamy przez most na Dunajcu, a potem przez wieś Jazowsko, całą przesiąkniętą żywiczną wonią z tarcic świerkowych. Tu znajduje się fabryka giętych mebli. W powietrzu brzmią dzwonki kościółka wiejskiego. Za chwilę rozpocznie się suma, bo na kamiennych ogrodzeniach wzdłuż drogi pnącej się w górę do kościoła zasiedli odświętnie ubrani górale. Z ust starych zwisają fajki.

Skręcamy znowu ku południowemu zachodowi i widzimy w dali wysterczające z pośród sadów białe mury kościoła. Jaskółka zawiadamia, że to Łącko widnieje. Za półgodziny jesteśmy tam. Ujechaliśmy już 17 kilometrów.

Nie znajdziesz w Szczawnicy ani jednego kuracyusza, któremuby nieznane było Łącko, a każdy inteligentny musiał popasać w hotelu „Szczawnickim“, musiał, bo restauratorka zaprasza bardzo uprzejmie. Kogo zaś uprzejmość nie pociągnie, tego zniewolą słowa w Austryi wiele mówiące: „ja za to podatek płacę“. Godłem restauracyi w hotelu „Szczawnickim“ są pstrągi, które tam o każdej porze zjeść można bez obawy o zatrucie się. Usługuje w niej grzeczna Kasia. I ona też bezpieczna, skoro już 14 lat „przy gościach“. Widząc, że jednokonki z żydkami omijają naszą restauracyę, a zajeżdżają przed drugi dom za rzeczułkę, zapytałem, czy tam także dom zajezdny. Otrzymałem od Kasi potwierdzającą odpowiedź z wyjaśnieniem, że tamtej restauracyi miano „Lustig“, której właścicielem jest ojciec naszej restauratorki i dlatego tam jeszcze po staroświecku, że tam „jedzenie nie byłoby złe, ino ze namiesa zydów z katolikami do kupy razem“.

Po godzinnym popasie puściliśmy się ze świeżemi siłami w dalszą drogę. Szosa skręca się ku południowi, idąc, ciągle równolegle z Dunajcem coraz głośniej po kamieniach szumiącym. Na wysokich górach złocą się między krzakami poletka owsiane. Im bliżej Krościenka, tem mniej sadów, a tem więcej chodaków. Jesteśmy już w Krościenku. Do Szczawnicy mamy jeszcze tylko sześć kilometrów. Miasteczko Krościenko, to mówiąc po naszemu „dziura“, coś w rodzaju Krzywczy koło Dubiecka. Jest w niem jednak sąd i to cała jego chluba, a budynek sądowy o murowanym parterze, a na piętrze drewniany, to cała jego ozdoba, gdyż kościółek w Krościenku tak mały, niski i tak połatany, że najmniejszej wsi ozdobą nazwaćby się nie śmiał. Wszedłem na chwilę do środka i tam od jakiegoś „starszego brata“ dowiedziałem się, że w przyszłym roku rozpocznie się budowa nowego kościoła, który stanie w tem samem miejscu i który będzie większym, gdyż „cofnie się go trocha w przód i w tył“.

Z Krościenka widać już Pieniny Szczawnickie, a wkrótce pokaże się i Bryarka. Wjeżdżamy znowu na kryty most, za którym już Szczawnica Niżna. Na rozległym stoku gór wystrzeliła w górę z pośród domów i wil wieżyca pięknego kościoła szczawnickiego. Już tylko dwa kilometry do „Józefiny“.

Śliczna okolica górska, powietrze czyste, łagodne i przesławna woda „Józefina“, to Szczawnica, której niejeden życie swoje zawdzięcza, niejeden, kry uciekł tutaj z Gries i z Meranu.

Sądzę, że trafnie charakteryzował obecny stan Szczawnicy mój woźnica. Na zapytanie moje, czy wiele zarab, odpowiedział przecząco ze znamiennym dotkiem „co gość, to podlejsy“. Na słowo „goś“ dotknął z lekka krysy kapelusza.

Kto już dzisiaj je jedzie do kąpiel, albo na świeże powietrze! A jednak zdrojowiska nasze upadają.

Powiadają i piszą, że powodem upadku Szczawnicy są obecnjej dzierżawcy. To samo piszą też o Truskawcu i o innych miejscach kąpielowych. Nie wchodzę w to, czy i o ile zawinili Wiśniewscy, Mizerscy itd., sądzę jednak, że przedewszystkiem winni tu wszyscy Polacy. Weźmy pierwszą lepszą „Kurlistę“ zagranicznych „badów“ których jest takie mnóstwo. Ile tam polskich nazwisk z samej Galicyi! I przeglądnijmy nowu listę gości najwięcej uczęszczanej u nas Krynicy, odliczmy wszystkie „prywatne“ fałki i Gietle z Niemirowa, Krakowa i Kulibwa itd., ile nam zostanie obywatelek ziemskich, „mecenasowych“ itp.?

Dla scharakteryzowania jakości naszych kuracyuszów przytoczę tu wypadek, jaki mi się zdarzył przed kilku laty.

Jechaliśmy z lekarzami sądowymi dla przeprowadzenia sekcyi zwłok w miasteczku Narolu. Po przybyciu tamże, zatrzymaliśmy się przed domem cyrulika, którego na życzenie lekarzy mieliśmy zabrać ze sobą do pomocy przy sekcyi. Cyrulik, od średniego wieku, żalił się przed nami, że trudno mu wyżyć w Narolu z kilkorgiem dzieci. Wzbudził on tem większą litość we mie, że wyglądał nader nędznie i że miał zesztywniały kark. Na zapytanie moje, co jest powodem jego kalectwa, odpowiedział, że raz wzimie wezwany do chorego jechał w nocy wśród śnieżnej zawieruchy, że przybywszy do ciepłej izby przystanął przemarzniętymi plecyma przy gorącym piecu i od tego czasu dostał zesztywnienia karku i kręgosłupa. Lekarz oznajmił nam, że cyrulik chory jest na tabes i zapytał go, dlaczego nie jedzie do kąpiel. Aby jechać do kąpiel — odrzekł ze smutkiem cyrulik — trzeba mieć dwadzieścia reńskich. (Sic).

Pytam się tedy, czy sam p. Wiśniewski albo Mizerski może podnieść Szczawnicę, albo Truskawiec i czy mogą oni uczynić to wspólnie z tysiącem dwudziestoreńskowych kuracyuszy?

Dr. W. Cichocki.

Wypadki w Rosyi.

Tyflis. Od przeszło miesiąca przerwany ruch pocztowy i telegraficzny do stacyi transkaukazkich, został podjęty na nowo, z wyjątkiem gubernii Kutajskiej, która jest zupełnie odcięta od Tyflisu. Większość przywódców strejku aresztowano. Kilku oficerów żandarmeryi i generała Gramosina strejkujący uwięzili. Urzędownie donoszą, że z gmachu seminaryum ormiańskiego rzucono 2 bomby na patrol, przyczem 2 kozaków raniono, a 1 dziecko zginęło. Dom natychmiast osaczono i ostrzeliwano z armat, poczem dom spłonął. Nagromadzone tam bomby i naboje wybuchały tak, że nie można było stłumić pożaru. Ogółem zginęło 33 osób, a 30 jest rannych: Na przedmieściu Diduga odkryto w jednym z domów skład bomb. Kiedy jednakże wojsko tam chciało wkroczyć, rzucono bombę z sąsiedniego domu i strzelano do [illegible] czem zginęło 8 rewolucyonistów. Następnie przedsięwzięto rewizyę i zabrano wiele broni i amunicyi.

Petersburg. Dziennik *Nowoje Wremia* ogłosił artykuł, w którym podano rzekomo zdanie prezydenta ministrów Wittego o stosunku samodzierżawia cara do manifestu z 30 października. Artykuł ten powtórzyły pisma zagraniczne. Owoż agencya jest upoważniona do oświadczenia, że hr. Witte nigdy czegoś podobnego do nikogo nie powiedział.

Mały feljeton.

OPIEKUN.

(Z tajemnic wielko-miejskich).

Gdy emeryt p. M. umarł, córka jego pozostała sama, niemal bez środków do życia; albowiem p. M. stracił posag żony w nieszczęśliwych spekulacyach. Marya była wykształconą i piękną, ale ubogą, to też nie znalazła konkurentów.

Powróciwszy z cmentarza, zastanowiła się sierota nad swem położeniem. Meble i kilkaset złotych były całym jej spadkiem po rodzicach. Pozbyła się gratów, zatrzymując tylko najniezbędniejsze, a ponieważ ufała swoim siłom, postanowiła wywalczyć sobie byt własną pracą.

Ukończyła przecież dobrą szkołę, posiadała znakomite świadectwa, kształciła się w muzyce, więc zamierzała udzielać lekcyi gry na fortepianie; nie mogła jednakże pozostać w miasteczku, gdzie każdy ją znał i gdzie narażoną była na mnóstwo nieprzyjemności i upokorzeń; podążyła do Lwowa, będącego dla wszystkich walczących o byt ziemią obiecaną.

We Lwowie poskładała wizyty dawniejszym znajomym ojca, prosząc ich o łaskawą rekomendacyę w kołach znajomych i wskazanie uczenic, skoro nadarzy się sposobność. Zajęła mały pokoik przy rodzinie i czekała.

Upragnione uczenice nie przybywały. Biedna dziewczyna nie wiedziała, że setki nauczycielek wyczekuje napróżno na uczenice, że bez protekcyi nigdzie tak trudno nie jest „przebić się“, jak właśnie w dużem mieście. Marya była zbyt dumną, żeby raz jeszcze błagać znajomych swoich. Starała się o posadę guwernantki: od rana do wieczora kołatała do różnych domów, naprózno; gdziekolwiek zaś napotkała posadę wolną, tam wraz pojawiały się legiony współzawodniczek.

Młoda dziewczyna upadła na duchu. Z trwogą pytała się, co będzie dalej, a tymczasem szczupłe jej środki topniały szybko.

Rzuciła się do robótek ręcznych, była zręczną i posiadała lekką rękę. Obchodziła sklepy i istotnie otrzymała robotę do domu, coprawda za skromnem bardzo wynagrodzeniem. Pracowała od świtu do późnej nocy; ponieważ jednak nie mogła się wykazać żadną rekomendacyą, nie powierzono jej naraz dużo materyału; co drugi dzień traciła godzinę czasu na odnoszenie ukończonych robót; kazano też jej czekać tydzień, ba, dwa tygodnie, zanim nową otrzymała pracę.

Siły Maryi słabły, czuła zbliżającą się chorobę.

— Jestem zbyt dumną — powiedziała sobie — skoro nie ma dla mnie posady guwernantki, są przecież jeszcze inne stanowiska, które mogłabym zająć; damy do towarzystwa, panny sklepowej, byle znaleźć dach nad głową i mieć co w usta włożyć.

Udała się do biura pracy i zapisała się na liście poszukujących zajęcia...

Wychodząc z biura, spostrzegła, że za nią dąży jakiś starszy, poważny jegomość.

Przyśpieszyła kroku, staruszek ruszył także raźniej.

Na narożniku ulicy wstrzymały ją przejeżdżające wozy.

Stary mężczyzna dogonił ją i odezwał się:

— Łaskawa pani wybaczy, że ośmielam się ją zaczepić..

— Spojrzała na niego z góry:

— Mój panie! nie znam pana!

— Jestem byłym obywatelem, nie sądź pani — odparł łagodnie staruszek — że zagaduję ją powodując się prostą ciekawością. Widziałem panią wychodzącą z biura pracy, może mógłbym być pani pomocnym; w moim wieku, myślę, że pani może mi zawierzyć... przecież to miło dopomagać...

Nieufność dziewczęcia zniknęła.

Cóż mogła ryzykować, przecież stary jegomość wyglądał tak poważnie.

— Tak — odparła — szukam w istocie posady.

— Posiadam liczne znajomości, cieszyłbym się, gdyby mi udało się dopomódz pani. Poznałem zaraz, że pani musi pochodzić z lepszej rodziny.

— Ojciec mój był wyższym urzędnikiem.

— Widzisz pani, że się nie omyliłem — zauważył starzec z uśmiechem.

— Ach, odezwała się Marya smutnie, ojciec mój umarł, a teraz jestem tak dobrze, jak bez środków do życia. Przybyłam do Lwowa i naprózno poszukiwałam lekcyi gry na fortepianie; gotówka wyczerpuje się powoli. Nie upadam jednakże na duchu, mogę i chcę pracować i szczerze byłabym wdzięczną temu, ktoby wyszukał mi jakieś zajęcie.

— To bardzo pięknie, postaram się uczynić wszystko, co będzie możliwem.

— Zadowolę się najskromniejszą posadą, nie mam wielkich wymagań! Ach, gdybym nareszcie dostała zajęcie!

— Poszukam pani lepszą posadę. Jesteś pani podobną do mej córki nieboszczki — byłaby teraz w wieku pani, — to zapewne spowodowało mnie do ofiarowania pani pomocy — jakież podobieństwo! — głos drżał mu ze wzruszenia.

— Szczerze współczuję! — zapewniała rozrzewniona Marya.

Dlatego to zagadnąłem panią, chociaż wiem, że to nie uchodzi. Ale właśnie przypomina mi się, że jest posada zupełnie dla pani stosowna. Odkąd jestem wdowcem i samotnym, jadam regularnie w restauracyi przy ulicy X. Panna, będąca tam kasyerką, wychodzi wkrótce za mąż, więc posada się opróżnia. Pomówię z gospodarzem lokalu i sądzę, że moje polecenie przyda się pani, jeżeli reflektujesz pani na tę posadę: 30 złr. pensyi, mieszkanie wolne. Cóż pani sądzisz o tem?

— 30 złr. i mieszkanie — zawołała uradowana Marya — ależ to przewyższa moje oczekiwania; jakże chętnie zajęłabym tę posadę.

— Dobrze, ale nie można tracić czasu. Na takie posady zawsze zgłasza się mnóstwo kandydatek, trzeba tylko złożyć małą kaucyę, bo przez ręce kasyerki przechodzą duże sumy.

— Ile? — zapytała zatrwożona Marya.

— Zdaje mi się około 60 guldenów.

Marya smutnie zwiesiła główkę.

— Tyle nie posiadam.

— A od czegoż ja jestem. Przecież pani zezwoli, że dopomogę. Ileż pani posiada?

— Około 40 złr.

— Dobrze, resztę dołożę.

— Ach, jaki pan dobry! Kiedyż się odwdzięczę?!

— Przecież tylko pożyczam pani — odparł staruszek skromnie.

— O, zwrócę panu w ratach miesięcznych, przyrzekam święcie.

— Wierzę pani chętnie. Ale, jak powiedziałem, musimy się śpieszyć. Odprowadzę panią do domu, pani wręczy mi pieniądze i bezzwłocznie udam się do restauracyi, żeby dokonać umowy. Jestem przekonany, że gospodarz panią zaangażuje, gdy ją gorąco polecę.

— Jakiż to traf szczęśliwy, że spotkałam pana — zawołała Marya.

I przyśpieszyła kroku, tak, że dobroczyńca jej z trudnością za nią podążał.

Gdy doszli do mieszkania, Marya pierwsza zawahała się: Mieszkam na trzeciem piętrze, bardzo u mnie ubogo, nie chciałabym pana fatygować.

— Poczekam tutaj w sieni — oświadczył stary jegomość.

Marya szybko wbiegła na schody, wyjęła z szuflady cały swój majątek, 40 złr. i wręczyła je swemu opiekunowi.

— Znam teraz adres pani. — Do widzenia, jutro rano, kochana pani.

— Do jutra — tysięczne dzięki — żegnała go Marya z wdzięcznym uśmiechem.

Lecz nieznajomy staruszek nie zjawił się dnia następnego, ani innych dni.

Padła ofiarą oszusta...

Algeciras.

Algeciras, w którem we wtorek rozpocznie się konferencya marokkańska, jest malutką mieściną, mającą 13.000 mieszkańców, bardzo schludną i posiadającą klimat bardzo zdrowy, stąd też w zimie chętnie odwiedzaną przez bogatych cudzoziemców, zwłaszcza Anglików, którzy wolą tam mieszkać, niż w znacznie droższym Gibraltarze, oddalonym od Algeciras zaledwie o godzinę drogi i połączonym z nim sześć razy dziennie statkiem parowym. Historya tej mieściny jest następującą: W r. 713 po Narodzeniu Chrystusa, słynny Taryk, wódz Maurów, wylądował w tem miejscu ze swojem wojskiem, i założywszy miasto, nazwał je „al gezira alkhadra“, to znaczy „zielona wyspa“. Stąd rozpoczął zwycięski pochód przeciwko Hiszpanii, która przez całe stulecia podlegała Maurom. Gdy się potem odwróciła karta dziejów i Maurów zaczęto wypierać stopniowo, Algeciras dopiero w roku 1344 zostało przez wojska Alfonsa XI-go odebrane z rąk niewiernych. Ale w kilka lat później odebrał to miasto napowrót Mahomet V-ty z Granady i tak walczono o nie bez ustanku, aż wreszcie nie pozostał w niem kamień na kamieniu. Późniejsze usiłowania królów kastylijskich, ażeby to miasto odbudować, nie miały powodzenia. Opuszczone ruiny rozsypywały się w gruzy i dopiero gdy przed dwustu laty Anglicy zajęli Gibraltar, wielu Hiszpanów przeniosło się stamtąd do Algeciras. Od tej pory datuje się nowa epoka dziejów tego miasta, które na starych ruinach przybrało obecną postać. Jeszcze raz nazwisko to spotykamy w dziejach, gdy w r. 1801 flota francuska odniosła pod Algeciras zwycięstwo nad Anglikami, którzy później wzięli odwet pod Trafalgerem.

Algeciras na pierwszy rzut oka nasuwa myśl, że możnaby je przemienić z łatwością w pierwszorzędny port. Ale i to miasto jest ofiarą administracyi hiszpańskiej, która nic nie czyni, ażeby wyzyskać dobre warunki dna morskiego i spokojnie spogląda, jak Anglicy zagarniają dla Gibraltaru cały ruch handlowy. Algeciras poprzestawać musi na małej żegludze nadbrzeżnej, chociaż posiada znaczny przemysł korkowy, istniejący tylko dla wywozu. Lasy korkowych drzew w pobliskich górach Sierra de los Gazulas należą do największych w świecie.

Małe, niskie domy w Algeciras nie wyglądają imponująco, również kościoły nie odznaczają się niczem i nie posiadają skarbów artystycznych. Wymienićby można chyba ratusz, komendę generalną, szpital i koszary. Teatr także nie zajmie dyplomatów, ale Rada miejska chce obmyśleć dla nich inne rozrywki, a mianowicie walki byków. W każdym razie przedstawiciele mocarstw będą jeździć do Gibraltaru, ażeby się tam zabawić. Jak wszędzie w Andaluzyi, tak i w Algeciras wszystkie drzwi i okna domów zaopatrzone są w kraty żelazne, w pierwszym rzędzie dla bezpieczeństwa od złodziei, a w drugim dla zabezpieczenia pięknych pań przed donżuanami. Kobiety w Algeciras mają być bardzo piękne, a mężczyźni jeszcze bardziej zazdrośni.

Okolica jest piękna. Niedaleko znajduje się słynne „Tajo di Rondo“, połączone z Algeciras koleją żelazną. „Tajo di Rondo“ jest to przecudnie piękny wąwóz, który w skałach wykuł sobie Gwadalkwiwir, a który należy do najpiękniejszych na świecie. Ale należy być podczas wycieczek ostrożnym, gdyż w okolicy znowu zaczęli się pojawiać bandyci. Swojsko będą się czuli w Algeciras przedstawiciele Marokka. Wszak niejeden mieszkaniec Algeciras, gdyby tylko wdział strój maurytański, mógłby śmiało uchodzić za Maura, którego zresztą jest niezaprzeczonym kuzynem. Ale kuzyni zdawien dawna nienawidzą się: mieszkaniec Algeciras nazywa Maura „niewiernym“ a nawzajem otrzymuje od Maura nazwę „giaur“.

Z izby sądowej.

Rzeszów 12 stycznia.

(O obrazę honoru.)

Odbyła się tu rozprawa apelacyjna przeciw hr. Władysławowi Michałowskiemu, starości jasielskiemu, oskarżonemu przez d-ra Oberländera o obrazę honoru. Sprawa jest stara i dobrze znana, więc jej nie powtarzam. Przypominam tylko, że w mowie do uczniów po jakimś egzaminie miał się hr. Michałowski wyrazić, iż niektórzy z nich są to „szumowiny à la Oberländer“. W czasie pierwszej rozprawy został hr. Michałowski uwolniony.

W toku wczorajszej rozprawy apelacyjnej przesłuchano jako świadków: dyrektora gimnazyum jasielskiego p. Słotwińskiego, ks. Rospondę, prof. Truszkowskiego, prof. Paczosę i kandydata adwokackiego Kulczyckiego. Świadek Paczosa zeznał, że bezpośrednio po krytycznem zajściu w kancelaryi dyrektora zwrócił się do niego, wyrażając zdziwienie, że nikt z obecnych nie ujął się za pokrzywdzonym d-rem Oberländerem. Dyrektor nic nie odpowiedział, lecz wyraz twarzy wskazywał na zakłopotanie. Dyrektor Słotwiński, w charakterze świadka, nie wykluczył tej rozmowy; nie pamięta jej jednak. Po wywodach stron i kilkugodzinnych naradach trybunał zatwierdził wyrok I instancyi, uwalniający hr. Michałowskiego od przekroczenia o obrazę czci.

Wobec tego wyroku koszta procesu, które przenoszą 1.000 kor., musi pokryć dr. Oberländer.

KRONIKA.

Lwów 13 stycznia.

Mianowanie. Cesarz nadał prywatnemu docentowi na wydziale lekarskim i prymaryuszowi szpitala drowi Józefowi Wiczkowskiemu we Lwowie tytuł nadzwyczajnego profesora uniwersytetu.

Sejmik relacyjny dra Głąbińskiego miał się odbyć wczoraj wieczór w sali Towarzystwa pedagogicznego. Sejmik naznaczony był na godzinę 6. Ale chcąc zapobiedz temu, żeby socyaliści nie opanowali sali, prof. Głąbiński rozesłał listowne zaproszenia do swoich zwolenników, wzywając ich do przybycia już na godzinę 5-tą do tej sali. Tymczasem przez niedyskrecyę któregoś z narodowych demokratów, socyaliści dowiedzieli się o tym fortelu i tłumnie przybyli jeszcze przed godziną 5-tą do sali, tak, że kiedy zwolennicy pana Głąbińskiego zaczęli się zjawiać, znaleźli już salę przeważnie obsadzoną przez socyalistów.

Na całym świecie przyjętym jest zwyczajem, że przewodniczącym na każdym sejmiku relacyjnym wybierają tego, kogo proponuje stronnictwo, do którego należy poseł, zwołujący sejmik relacyjny. Jest to akt kurtoazyi wobec tego posła, a nadto jest to zwyczaj technicznie usprawiedliwiony. Poseł może mieć potrzebę porozumieć się z przewodniczącym co do pewnych szczegółów i co do tego, jak ma być debata prowadzona, jakoteż co do uchylenia zbyt drażliwych interpelacyj, mogących szkodzić sprawie publicznej. Na ten akt zwykłej towarzyskiej uprzejmości nie mogli się zdobyć panowie socyaliści i skoro tylko wszedł na estradę p. Głąbiński i zaproponował wybór przewodniczącego, nie zaczekali, aż stronnictwo narodowo-demokratyczne wystąpi z propozycyą, kogo wybrać przewodnikiem obrad, lecz wnet postawili wniosek, aby nim wybrany został inżynier Hausner. Propozycya ta powitana została hucznymi oklaskami ze strony socyalistów. Gdy oklaski ucichły, ktoś ze strony narodowo-demokratycznej zapytał się: „któż to taki, ten Hausner?“ Na to powstała burza po stronie socyalistów. Zaczęli ordynarnemi przezwiskami łajać narodowych demokratów i obrzucać się na nich za to, że mogli nie wiedzieć, kim jest ten znakomity mąż, wielkość w obozie socyalistów. Gdy spokój nastał, ktoś z narodowych demokratów zaproponował wybór dra Fischera na przewodniczącego.

Przystąpiono do głosowania i większość się oświadczyła za panem Hausnerem. Taki rezultat głosowania wywołał ogromną wrzawę ze strony narodowych demokratów. Zanosiło się na walkę. Chcąc jej zapobiedz, poseł Głąbiński wyszedł z sali; a wtedy st. komisarz policyi dr. Reinländer rozwiązał zgromadzenie. Wówczas dr. Diamand wszedł

na estradę i postawił wniosek, aby drowi Głąbińskiemu wyrazić wotum nieufności za jego działalność w Radzie państwa. Wniosek ten przyjęli socyaliści burzą oklasków, poczem opuścili salę Tow. pedagogicznego i udali się do „sali metalowców“ w pasażu Mikolasza, gdzie odbyli swoje zgromadzenie i gdzie naturalnie miotali obelgi na wszystkich tych, którzy do ich obozu nie należą.

Próba ta z sejmikiem relacyjnym dra Głąbińskiego pokazała nam, do czego dążą panowie socyaliści. Oto: chcą sterroryzować wszystkie inne stronnictwa w kraju i nie pozwolić, by ktokolwiek mógł występować w obronie swoich przekonań, wygłaszać publicznie swoje zasady, bronić swojej działalności politycznej. Stronnictwo to, które jest niesłychanie malutką cząstką społeczeństwa naszego, najmniej posiada inteligencyi, najmniej tworzy siły wytwórczej, najmniej ma mocy kapitalistycznej, najmniej opłaca podatków i które przeto powinno stać na szarym końcu wszystkich innych stronnictw w kraju, narzuca się brutalnością swoją całemu krajowi i chce go sterroryzować i zamknąć mu usta. Wobec tej brutalności socyalistów nie pozostaje nic innego, jak tylko, albo zrezygnować z wszelkiej publicznej politycznej pracy, albo organizować się w sposób taki, aby na brutalność socyalistów odpowiadać jeszcze większą brutalnością. Ponieważ pierwsze jest niemożliwem i byłoby bardzo zgubnem, przeto to drugie staje się koniecznością nieodwołalną.

Herbata literacko - artystyczna. Związek naukowo-literacki urządza w niedzielę o godz. 5-tej popołudniu herbatę literacko - artystyczną na cześć kompozytora Henryka Opieńskiego. Na program złożą się pieśni pana Opieńskiego, kwartet smyczkowy i odczyt o Bekwarku, lutniście Zygmunta Augusta.

Członkowie mają wstęp wolny, goście płacą po koronie.

Sprawa zagadkowej śmierci służącej Bandurowskiej, którą znaleziono bez życia w mieszkaniu p. Władysława Pettescha, nie została dotąd wyjaśnioną. Prokuratorya poleciła jednak prowadzić śledztwo przeciw p. Petteschowi o zbrodnię morderstwa, a zarazem zarządzono przeniesienie go do szpitala więziennego. Ponieważ jednak dr. Opolski, na którego oddziale leży Pettesch, orzekł, że stan jego zdrowia jest jeszcze tak groźny, że przeniesienie chorego mogłoby spowodować katastrofę, przeto pozostawiono go w szpitalu powszechnym.

Wczoraj w południe izba radna rozpatrywała sprawę, biorąc pod rozwagę wynik obdukcyi zwłok śp. Bandurowskiej. Obdukcya wykazała, że ś. p. Bandurowska miała ostre zapalenie płuc i gruczołów gardłowych. Choroba ta była w takim stanie, że mogła spowodować śmierć naturalną. Żadnych śladów gwałtownej śmierci przez otrucie obdukcya zwłok nie wykazała. O ile jaka trucizna mogła spowodować śmierć, wykaże analiza treści żołądka, którą oddano chemikowi sądowemu p. Włodzimirskiemu do badania. Od wyniku tej analizy zależnem jest dalsze śledztwo przeciw Petteschowi w kierunku morderstwa. Rozbiór chemiczny potrwa 8 do 10 dni.

Marszałkiem powiatu gorlickiego wybrany został w miejsce ś. p. Adama hr. Skrzyńskiego p. Władysław Płocki, poseł sejmowy, właściciel dóbr Ropica polska. Na 28 głosujących otrzymał on 19 głosów.

Ucieczka defraudanta. Z Jasła donoszą, że uciekł stamtąd do Ameryki pomocnik sądu powiatowego, niejaki Teofil Irauth, który od długiego czasu popełniał manipulacye oszukańcze ze stemplami, mianowicie pobierał je od stron, a na dokumenta nie naklejał, lecz znaczył je jako „nocyonowane“. W ten sposób wyrządził skarbowi państwa szkodę na przeszło 1.200 koron. Nadto udając skromnego, cichego, pracowitego urzędnika zdołał zdobyć sympatyę wielu osób w Jaśle i wyłudził od nich podpisy na kwotę ogólną 12.000 koron. Gdy teraz jakiś urzędnik skarbu z Sanoka, któremu wielka liczba niestemplowanych aktów wydała się podejrzaną, wpadł na trop malwersacyi, Irauth, nie czekając rezultatu śledztwa, umknął do Ameryki. Z Hamburga napisał kartkę z doniesieniem, że opuszcza niewdzięczny kraj i prosi, aby go nie ścigano. Zostawił bez żadnego zaopatrzenia żonę i maleńkie dziecko.

Nowe morderstwo socyalistów. X. Marceli Ryniewicz, wikaryusz parafii św. Trójcy w Warszawie, ogłasza w pismach warszawskich list otwarty do narodu polskiego, zawierający wstrząsający opis morderstwa, jakiego dokonali socyaliści na jego bracie, Piotrze Ryniewiczu. Oto tekst listu:

„Dnia 15 grudnia 1905 r., o godz. 9½ wieczorem, został zamordowany w Mińsku Mazowieckim dwoma wystrzałami z rewolweru przez członków jednej z partyj socyalistycznych brat mój, śp. Piotr Ryniewicz. Mord na bracie mym został dokonany za to, iż nieboszczyk gorąco kochał ojczyznę swą i pracował szczerze, z zaparciem się siebie samego dla dobra narodu. Widząc zabójczą dla kraju robotę socyalistów, starał się niweczyć ją, oświecając bliźnich swych, aby nie szli za szalonymi agitatorami, prowadzącymi naród nad przepaście. Wyrok śmierci na brata mego zapadł zapewne po wiecu, jaki odbył się w dniu 5 listopada r. z. w Mińsku Mazowieckim. Na wiec przybyło dwóch agitatorów socyalistycznych. Jeden z nich w półtoragodzinnej mowie nawoływał słuchaczów do mordów, rzezi i krwi rozlewu, łżąc tych, którzy gorąco i szczerze kochają ojczyznę swoją. Nieboszczyk brat mój wraz z innymi słuchaczami zaprotestował przeciw tego rodzaju agitacyi i nie pozwolił mówcy skończyć. Agitator, gdy schodził z mównicy, rzekł: „Towarzysze, proszę sobie zanotować tych zuchwalców, którzy mi przeszkadzali, i ukarać ich należycie!“ Poczem jeden z miejscowych socyalistów podszedł do ś. p. brata mego i powiedział: „Panie Ryniewicz, uspokój się pan, bo niedługo źle z panem będzie“.

Po tym wiecu pogróżki, skierowane w stronę nieboszczyka, zaczęły powtarzać się coraz częściej, bo śp. brat mój nie zaprzestawał pracy narodowej, a jednocześnie zwalczał działalność socyalistów, piętnując ostro ich pisma, jak *Kuryera Codziennego*, siejące nienawiść wśród narodu. I zbrodnia została spełniona! W noc ciemną, dżdżystą, w dniu 15 grudnia, zamordowano brata mego skrycie, z za węgła, tuż pod oknami mieszkania jego, gdy wracał z Warszawy z zajęcia. Gdy ojciec, stryj i żona zabierali ciało zamordowanego z ulicy, mordercy, czy ich wspólnicy nie chcieli pozwolić na to, tłumacząc, iż ciało powinno pozostać na miejscu. Na drugi dzień po dokonanym mordzie, gdy przy ciele zamordowanego czuwały same tylko kobiety, wpadło do mieszkania dwóch ludzi, uzbrojonych w pałki i, nie pytając nikogo o pozwolenie, rzucili się do ciała zmarłego, zdarli prześcieradło, rozwarli koszulę i przyglądali się ranom, poczem zwrócili się brutalnie do zrozpaczonej wdowy z żądaniem, aby wydała im kule, jakiemi został zamordowany śp. brat mój. Nieszczęśliwa odrzekła, iż są one u sędziego śledczego. To chyba szakale, a nie ludzie! Socyaliści nie kryją się, iż są sprawcami mordu; sami twierdzą, że nieboszczyk brat mój zginął za to, iż walczył z socyalistami. Zdradzili się oni również, że już na drugiego brata mego, Jana, dwa razy zamachy czynili, lecz ręka Boska uchroniła go od śmierci. Grożą i mnie także. Sądźcie, bracia Polacy, sami o tem; ja tylko ze zbolałego serca pytam, jako brat zabitego, kapłan i obywatel: za co brat mój tak strasznie zginął w kwiecie wieku, osierociwszy żonę, synka-niemowlę, pogrążywszy nas w niedającym się opisać smutku? — Osądź to wszystko, ty, szlachetny zawsze narodzie polski! Do ciebie tę bolesną skargę zanoszę!“

Bolesny fakt. Piękny wielki majątek polski: Kotowiecko w Poznańskiem, własność spadkobierców ś. p. Józefa Morawskiego, przeszedł w drodze licytacyi na własność komisyi kolonizacyjnej, za kwotę 1,058.500 marek. Było wielu Polaków, którzy chcieli majątek nabyć z wolnej ręki, ale chciwi spadkobiercy, woleli sprzedać go na licytacyi, aby zeń większą sumę uzyskać. Co najsmutniejsze to to, że męzcy spadkobiercy Kotowiecka dokładali wszelkich starań, aby nie dopuścić do sprzedania majątku Niemcom, aby rodzinę i czystość imienia uchronić od tak wielkiej plamy, ale kobiety uniemożliwiały wszelkie układy, a jeszcze były tak perfidne, że doprowadziwszy do subhasty, chciały jej się wyrzec publicznie. Jedna z nich, p. Suffczyńska posunęła przewrotność do tego stopnia, iż zapowiedziała, że jeżeli ojcowizna Morawskich przejdzie w ręce niemieckie, to przewyżkę, przypadającą na jej dział w stosunku do najwyższej ceny, ofiarowanej przez Polaka, przeznacza na cel publiczny polski. Ponieważ p. Suffczyńska pretenduje do ¹/₇ spadku, zatem sto ownie do powyższej deklaracyi „na cel publiczny polski“ złożyć powinna ¹/₇ od sumy 500 marek, gdyż tylko o 500 marek Niemcy dali więcej, niż dawał Polak. Zatem 71 marek i 43 fenigi, mają opłacić sprawie polskiej tak wielką klęskę, jaką jest oddanie polskiej włości w ręce niemieckie!

Jeden z naocznych świadków tak opisuje smutną scenę licytacyi:

Z polskiej strony wystąpiło do licytacyi tylko dwóch Polaków, a mianowicie dr. Kusztelan, dyrektor Banku Związku Spółek zarobkowych w Poznaniu, i to w zastępstwie rodziny Morawskich, a oprócz tego p. Marcin Biedermann, jako reprezentant firmy Drwęski & Langner z Poznania; natomiast z niemieckiej strony brali gorący udział w licytacyi wyższy radzca rejencyjny dr. Anger, zastępca królewskiej domeny, potem kolonizacya, reprezentowana przez znanego p. Kronheima z Bydgoszczy, a który znów dla pokrycia siebie wysunął niejakiego p. Aleksego Kamieńskiego rzekomo z Gniezna, dalej bar. von Leckow z Głusek i wreszcie niejaki p. Stanisław Tietze rzekomo Polak; kto się za owym p. Stanisławem Tietzem krył, dotąd nie wiadomo. atoli już z twarzy tak p. Kamieńskiego, jak i owego p. Tietzego — rzekomo Polaków — z góry wyczytać było można, że to figury podsunięte. Prawdopodobnie spekulowano z przeciwnej strony na naiwność Polaków, że ustąpią w licytacyi pola dla współbraci Aleksego Kamieńskiego i Stanisława Tietzego, przez co kolonizacya o kilkanaście tysięcy talarów taniej przyszłaby była do Kotowiecka.

Dr. Kusztelan podał z góry 900.000 mar., p. Stanisław Tietze 1,019.000 m., Królewska domena 1,038.000 m., bar. von Leckow 1,052.000 m., p. Biedermann 1,058.000 m., czyli 375 marek za morgę, przyczem dodać trzeba, że Kotowiecko jest majątkiem potrzebującym drenowania i przeszło 8 klm. od kolei odległym. To też gdy następnie ów nieznany Kamieński podbił jeszcze i tę cenę, oczywiście dla kolonizacyi, Kotowiecko zostało mu przybite. Zaraz po przybiciu Kotowiecka znikli bez śladu tak p. Kamieński, jak i p. Tietze, a na plan pierwszy wystąpił teraz p. Kronheim z notaryalnym aktem, mocą którego p. Kamieński odstąpił swe prawa do Kotowiecka p. Kronheimowi. Tak się zakończył dramat Kotowiecka.

Zaznaczyć tu wypada, że specyalnie pp. Morawskich z Kaczkowa i z Oporowa nie spotyka tu żadna wina, gdyż zrobili wszystko, co było w ich siłach, by Kotowiecko zostało w rękach polskich. Obaj pp. Morawscy bowiem, widząc, że kolonizacya formalnie pali się do Kotowiecka, ofiarowali p. Biedermannowi z swej strony przeszło 100.000 marek, jeżeli Kotowiecko dla niego zostanie przybite i to tytułem ekwiwalentu za nadwyżkę, którą p. Biedermann podał już dla pobicia kolonizacyi.— Wedle ogólnie zgodnego mniemania obecnych obywateli z Pleszewskiego, była cena 1,058.000 marek czyli 375 marek za morgę, podana przez p. Biedermanna, z polskiej strony możliwie już najwyższą, a z kolonizacyą trudno walczyć, gdyż ta podając ustawicznie tylko 500 marek więcej—byłaby szła w cenie do niemożliwej wysokości. Jeszcze w przeddzień subhasty z inicyatywy p. Dra Kusztelana wysłano umyślnie posłańca do pp. Olschowków do Kotowiecka z listem przez p. Morawskiego z Oporowa w bardzo serdecznych słowach ujętym i z gorącem zaklęciem na pamięć i rocznicę śmierci matki, by pani Olschowka (rodzona siostra pp. Morawskich) przybyła do Pleszewa, gdzie już czeka dobry znany kupiec Polak, który ofiaruje dobrowolnie 1,000.000 marek, a przez to Kotowiecko jeszcze w ostatniej chwili może być uratowane. Atoli w miejsce odpowiedzi przybył jej mąż, niejaki pan Olschowka na drugi dzień — a więc w dzień subhasty — otoczony całą „koroną“ Niemców i niemieckich adwokatów, którzy mu też aż do chwili przybicia Kotowiecka p. Kronheimowi wiernie asystowali. Jeszcze krótko przed rozpoczęciem terminu subhastacyjnego, już na sali sądowej w obliczu swoich i obcych zabrał głos p. Zakrzewski z Przygodzic, plenipotent ks. Radziwiłła, z gorącem odezwaniem się w serdecznych słowach, skierowanych mianowicie do p. Olschowki, by nie dopuścił do subhasty, bo to nie jest w intencyi śp. Morawskiego, ani też tu obecnych braci Morawskich; że utrzymanie polskiej ziemi winno stać ponad zawziętość i niechęć osobistą. Lecz i te wysiłki jak i poprzednie usilne starania p. mecenasa Trąmpczyńskiego, by Kotowiecko jeszcze w ostatniej chwili uratować, były daremne, a słowa p. Zakrzewskiego, wzruszające do łez, pozostały bez echa.

Z galicyjskiego Towarzystwa muzycznego. Próby chóru z orkiestrą z Schumanna „Raj i Peri“ odbywają się w dalszym ciągu, samo jednak wykonanie musiało być z powodu niedyspozycyi kilku solistów odroczone o tydzień. Bezpośrednio po tym koncercie odbędzie się II wieczór kwartetowy gal. Towarzystwa muzycznego z programem złożony z utworów nowszych autorów.

Zbójecki napad. Do mieszkania właściciela browaru Schielego w Warszawie wtargnęło 6 uzbrojonych ludzi, którzy, przedstawiwszy się jako anarchiści, zażądali 2.000 rubli. Schiele podpisał im kwit do kasy, gdzie kasyer wypłacił im ową sumę. W czasie jednak wypłacania pieniędzy zastrzelił kantorzysta z ukrycia jednego z anarchistów, dwóch zranił, a wtedy inni zbiegli, pozostawiając pieniądze.

Temperatura dnia 11 stycznia o godz. 7mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +3, we Lwowie +1, w Tarnopolu +1, w Czerniowcach —1, w Wiedniu +4, w Salcburgu +4, w Gracu —3, w Pradze +3, w Tryeście +6, w Abbazyi +8, w Raguzie +10, w Budapeszcie +1, w Berlinie +4, w Hamburgu +4, w Monachium +4, w Zurychu +2, w Genewie +1, w Lugano —1, w Anglii +4, w Paryżu —1, w Biarritz +9, w Nizzy +4, w północnych Włoszech +1, we Florencyi +2, w Rzymie +7, w Neapolu +8, w Palermo +8, w Madrycie +8, w Sztokholmie —8, w Petersburgu —4, w Wilnie —1, w Warszawie +1, w Moskwie —5, w Kijowie —2, w Odessie 0, w Serajewie —3, w Belgradzie +2, w Bukareszcie —3, w Sofii —6, w Konstantynopolu +6, w Atenach +8 (Temperatura według Celsiusza).

Zmarli. W Krakowie, Jan Wojnakiewicz, emer. starszy radzca sądowy w 63 roku życia. —

Stan powietrza. T. o g. 7. rano + 1 R. w poł. + 4 R. Bar. 766. Spada. Pogoda.

Chybione wyznanie.

— Przyznam się panu szczerze, że nie znoszę muzyki?...

— A ja.. przyznam się pani, że postanowiłem zostać starym kawalerem.

Impertynent.

— Ach, gdybyś ty, Julku, znał historyę mojej pierwszej miłości...

— I... niech cioteczka nie opowiada: historyę starożytną znam na pamięć.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego. Dziś: „Sawantki“ Molièra i „Protekcya“ Muray'a. — W niedzielę popołudniu „Betleem“ Rydla, wieczorem Tosca,“ opera Pucciniego.—W poniedziałek „Gioconda“ d'Annunzia. — We wtorek „Lohengrin,“ opera Wagnera. — We środę „Werther,“ opera Masseneta. — We czwartek „Rigoletto,“ opera Verdiego. — W piątek „Przekupka warszawska,“ sztuka Adama Bełcikowskiego.

Colosseum Hermanów. Od 1 do 15 stycznia: Amelia de Lagréze, największy fenomen świata. — Gabrielle Paquerette, gwiazda Paryża.— Fata morgana, wizye elektryczne. 10 wspaniałych atrakcyj. — W niedzielę i święta 2 przedstawienia: o godz. 4 i 8. Bilety wcześniej do nabycia w biurze dzienników Plohna.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 11 stycznia.

(Z.) Z Paryża donoszą, że przyszedł już do skutku ostateczny układ między p. Kokowcewem a bankami paryskimi w sprawie udzielenia Rosyi nowej krótkoterminowanej pożyczki i że odnośny kontrakt dziś podpisano. Wedle tego układu zobowiązały się banki francuskie zeskontować rosyjskie weksle skarbowe do wysokości 100 milionów rubli, czyli 266 milionów franków. Weksle te płatne są w dniu 31 grudnia b. r. Od zaliczonych sum zapłaci rząd rosyjski odsetki 5½%, tudzież prowizyę bankierską 1%. Układ ten zawarto w nadziei, że może jeszcze przed terminem zapadłości tych weksli skarbowych stosunki w Rosyi jakoś się ułożą, zwłaszcza po zebraniu się dumy państwowej i że zatem będzie można pomyśleć o przeprowadzeniu nowej wielkiej transakcyi emisyi renty rosyjskiej.

Druga dzisiejsza depesza z Paryża donosi, że rząd wniósł w parlamencie projekt ustawy, podwyższającej granicę, do której bank francuski może wypuszczać noty, do sumy 5.800 milionów franków. Dotychczas wynosiła ta granica 5 miliardów, ze względu jednak na wzmagające się bogactwo Francyi i rozwój handlu była już za szczupła. W początkiem stycznia br. wynosiła np. cyrkulacya banknotów we Francyi 4.905 milionów franków. Zauważyć przytem należy, że statut banku francuskiego nie zawiera żadnych zgoła postanowień co do tego, jaka część obiegu banknotów musi mieć metaliczne pokrycie.

Na giełdzie tutejszej przeważało dziś słabe usposobienie. Tylko akcye Anglobanku stanowiły przedmiot ożywionych transakcyi z powodu pogłoski, że zarząd tego banku nosi się z myślą podwyższenia jego kapitału akcyjnego o 12 milionów koron, z 48 na 60 milionów.

Zarząd austryackich kolei państwowych, który niedawno uwzględniając przedstawienie związków przemysłowych, rozdał fabrykom wagonów zamówienia na sumę 5 milionów koron, przychodzi obecnie z pomocą także fabrykom lokomotyw, czyniąc nowe, bądź co bądź bardzo małe zamówienia. W październiku r. z. zamówił on dla nowych kolei alpejskich 36 lokomotyw, 29 tenderów i 37 pługów do odgartywania śniegu, obecnie zaś zamówił dodatkowo jeszcze 15 lokomotyw i 12 tenderów. Obstalunkiem tym mają się podzielić wszystkie fabryki lokomotyw, których jest pięć.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Towarzystw rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 12 stycznia 1906 roku.) — Dzisiejszy targ odbył się w usposobieniu spokojnem, a tak notowania giełd zagranicznych jako też stosunki miejscowe nie uprawniają do zaznaczania jakichkolwiek zmian poważniejszej natury. Dotkliwie występuje jedynie brak większych zapasów wyki, która znajduje łatwy odbyt do Węgier po cenach wysokich.

Sprzedawano: pszenicę białą od 8·40—8·70 kor., czerwoną od 8·40—8·70, żyto od 7·00—7·20, jęczmień od 6·80—7·60, owies od 6·60—7·10, groch zwykły od 8·85—10·75, groch „Victoria“ od 11·50—12·75, groch do siewu na paszę od 0·00—00·00, wykę nową od 9·00—10·00, bobik od 7·50—7·75, kukurudzę starą od 8·20—8·55, kukurudzę nową od 7·00—7·85, Cinquantino od 8·40—8·60, otręby pszenne od 5·00—5·25, otręby żytnie od 5·30—5·40, rzepak od 13·75—14·25. Wszystko za 50 kilogramów.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne).

Belgrad. Ze strony autorytatywnej oświadczają, że unii celnej serbsko-bułgarskiej przypisano zupełnie fałszywe znaczenie, z powodu niedokładnego doniesienia jednego z korespondentów. Traktat przyznaje wolność od cła tylko tym towarom, które wyprodukowane są w jednym z obu krajów, zawierających traktat, a zapotrzebowane w drugim. Nie dotyczy zaś traktat wcale towarów importowanych przez te państwa, obejmuje bowiem tylko lokalną wymianę towarów. Naprzykład zupełnie niedwuznacznie wyłączone jest bydło z unii celnej, co jest dowodem lojalności Serbii względem zagranicy.

Postanowienia o zmianie traktatu, gdyby zaszła jej potrzeba, dają możność zadośćuczynienia życzeniom mocarstw. Wobec tego nie ma powodu do mówienia o zaniechaniu unii celnej. Czy chwila do wniesienia unii w sobraniu była stosowną, jest kwestya; gdyby zaszła potrzeba zmiany, sobranie uchwaliłoby dodatek do traktatu. Serbia przedłoży sprawę w skupszczynie dopiero po ewentualnych modyfikacyach. Wynika z tego, że o zamąceniu stosunków serbsko-bułgarskich nie może być mowy z okazyi ekonomicznej umowy, natury wybitnie lokalnej. Wytrawni politycy mogą osądzić traktat ten według jego rzeczywistego znaczenia, t. j. jako umowę ekonomiczną dwóch zaprzyjaźnionych krajów.

Wiedeń. Od pewnego czasu rozmaite pisma ogłaszają z mniej lub więcej „doskonale poinformowanej strony“ cyfry mandatów do Rady państwa, jakie mają przypadać poszczególnym krajom i narodowościom na podstawie nowego prawa wyborczego. Wartość tych informacyj można osądzić z tego, że cyfry ostateczne nie są jeszcze pewne. W obecnym stanie można powiedzieć, że bardzo wiele cyfr rządowych różni się znacznie od podawanych we wspomnianych informacyach.

Paryż. Sądzą, że umiarkowani republikanie, jeżeli wezmą udział w zgromadzeniu celem mianowania wspólnego republikańskiego prezydenta Francyi, to nie oświadczą się ani za Fallièresem, ani Doumerem, ale za Rouvierem, Ribotem lub Deschanelem.

Wobec pogłosek agencya Havasa oświadcza, że Rouvier nie ma zamiaru kandydować na prezydenta republiki.

Paryż. Na wczorajszej radzie ministrów naznaczono termin wyboru prezydenta republiki na dzień 17 b. m., t. j. we środę.

Paryż. Dzienniki republikańskie sądzą, że do cyfry 173 głosów, które otrzymał Fallières w senacie, należy doliczyć 269 głosów, które w Izbie deputowanych padły na Sarriena, tak, że Fallières otrzyma prawdopodobnie większość głosów przy głosowaniu na prezydenta republiki. Prócz tego doliczyć należy 25 senatorów, którzy onegdaj głosować nie mogli i usprawiedliwili się listownie. Konserwatywne pisma natomiast twierdzą, że Fallières otrzymał na prezydenta senatu o 26 głosów mniej, niż poprzednim razem, że przeto w Wersalu nie otrzyma większości.

Budapeszt. Cesarz nadał małą wstęgę orderu Szczepana dyrektorowi policyi w Budapeszcie, Beli Rudnayowi.

(Depesze popołudniowe).

Petersburg. W Batumie ruch kolejowy wstrzymano.

W Krasnojarsku buntownicy zdobyli rządowe i prywatne drukarnie. Dnia 22 grudnia odbyła się tam wielka demonstracya rewolucyjna; uzbrojeni w sztylety uczniowie postępowali na czele pochodu. Za nimi szedł batalion powstańców z karabinami. Dnia 28 grudnia utworzyła się gwardya obywatelska, wtargnęła do biura policyjnego, rozbroiła policyantów i broń zabrała. Dnia 7 stycznia przybyło wojsko i przywróciło porządek państwowy.

Warszawa. *Kuryer Warszawski* donosi: Właściciel realności przy ul. Brzozowej, p. Bolesław Jankowski, złożył w urzędzie cyrkułowym listę wyborców swego domu, sporządzoną po polsku. Nazajutrz wezwano go do cyrkułu i oznajmiono, że go aresztują za to, że listę wygotował w języku polskim. W odpowiedzi p. Jankowski oświadczył, że uczynił to z uwagi na ogłoszenie we wszystkich pismach o zezwoleniu władzy na prowadzenie w komisyach przedwyborczych całej manipulacyi w języku polskim, oraz z tego powodu, że sprawa sporządzania list nie jest biurokratyczną, lecz czysto obywatelską. Po spisaniu protokołu oznajmiono p. Jankowskiemu, że odpowiedni raport wraz z listą wyborczą wysłany będzie niezwłocznie do jenerał-gubernatora wojennego, poczem uwolniono go z pod straży.

Onegdaj wyszedł z Warszawy do Radomia pułk keksholmski, aby uśmierzyć ruch robotniczy w Radomiu i okolicy, który tam przybrał zastraszające rozmiary. Stacye Wierzbnik i Ostrowiec kolei iwangrodzko-dąbrowskiej zostały zdobyte przez wojsko po długim oporze. Pod Wierzbnikiem użyto także armat. Osoby powracające stamtąd opowiadają o strasznych dzikościach, jakich się dopuszczało wojsko na wszystkich mieszkańcach Radomia i okolicy, bez względu na to, czy uczestniczyli w ruchu, czy też zachowywali się spokojnie. Ruch wyszedł z łona robotników w zakładach Starachowickich, z którymi połączyły się inne partye.

Znowu zatem socyaliści narazili część kraju na klęskę, a siebie samych na bezcelowy pogrom. Radom znajduje się w najsilniej zaostrzonym stanie oblężenia. Po godz. 8 wieczorem wszystkie bramy są zamykane i nikt ani wejść ani wyjść nie może. Każdy przechodzień na ulicy podlega rewizyi osobistej, a jeżeli żołnierz znajdzie coś, co mu się nie podoba, może aresztować. Mnóstwo ludzi uwięzionych.

Warszawa. *Warsz. Dniewnik* pisze: W celu szybkiego stłumienia rozruchów w obrębie powiatów opatowskiego, iłżyckiego, koneckiego i sandomierskiego w gub. radomskiej główny naczelnik kraju utworzył z tych 4 powiatów oddzielny rejon i postawił na jego czele jako tymczasowego jen.-gubernatora dowódcę lejbgwardyi pułku keksholmskiego jen.-majora Resina, który dnia 10 wyjechał na miejsce urzędowania.

Petersburg. Tłómacz bawiącego tu koreańskiego ministra wojny Ijonkik wykonał wczoraj wieczorem zamach na ministra i zadał mu 11 ran. Zbrodniarza aresztowano.

Kraków. Woźny Antoni Mayer przyznał, po przesłuchaniu, które trwało wczoraj do 8 w nocy, że resztę pieniędzy ukrył w trzech doniczkach, stojących na oknie w jego mieszkaniu. Znaleziono tam rzeczywiście 9 banknotów po 1000 koron, 36 banknotów po 100 koron i około 6.000 koron w złocie. Odzyskano więc wszystko, z wyjątkiem 8.000 koron, które Mayer wydał.

Dzisiejszej nocy usiłowała wystrzałem z rewolweru odebrać sobie życie 18-letnia Stefania Hubicka. Powodem był brak zajęcia i środków do życia. Stan jej groźny.

Salonik!. W domu naprzeciwko Banku ottomańskiego znaleziono kilka bomb.

HOTEL GEORGE'A.

Przyjechali dnia 13 stycznia. Hr. A. Sobański z Jaroszenki. A. hr. Cetner z Podkamienia. S książę Lubomirski z Warszawy. M. br. Hagen z Wielkich Ocz. A. Zaleski, A. Borzewski, A. Bykowska, J. Gawroński i A. Łaniewski z Rosyi. K. Cieński z Uwisły. S. Bohdanowicz z Uszechleb. O. Rudziński z Osieka. K. Rościszewski z Warszawy. A Müller z Wiednia. S. Irsay z Lipnik.

HOTEL FRANCUSKI

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 13 stycznia. J. Sieczkowski z Przemyśla. S. Malczewski, R. Lossów i J. Unger z Borysławia. A. Grigovics z Czerniowiec, P. Linden z Frankfurtu. Hr. Della Scala z Bukowiny. J. Jorga, A. Toma i E. Tarnawski z Radowiec. M. Daczyńska z Doliny. O. Steinbach z Wrocławia. R. Präger z Pragi. J. Łukomski z Landberga. J. Bielecki z Rymanowa. A. Frenlich z Rzeszowa. J. Paparowie z Podlisek. J. Nagelberg z Koniuszek. N. Wierzchleyska z Kabarowiec. B. Widajewicze z Wołoniowa. K. Morawski z Brodów. M. hr. Miączyński z Monasterzysk.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 13 stycznia. K. Czarkowski z Niegowiec. Dr. A. Frenkl z Przemyśla. R. Breitenwald z N. Zagórza. Z. Lewakowski z Borysławia. P. Kaczkowski z Rosyi. P. Wolski z Siennowa. J. Miliński z Helenkowa. F. Milińscy z Czesznik. O. Schnell z Firlejówki. H. Iwanicka ze Stryja. W. Morawski ze Stanisławowa. A. Stieber z Wygody. J. Cielecki z Byczkowiec. P. Komornicki ze Schodnicy. J. Grünfeld z Wiednia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Budapeszt 13 stycznia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 100 kilogramów). Pszenica na kwiecień 17·12—17·14, na październik 16·82—16·84; żyto na kwiecień 14·00—14·02; owies na kwiecień 14·46—14·48; kukurudza na maj 1906 r. 13·62—13·64. — Rzepak na sierpień 28·20—28·40. — Oferty na pszenicę: mierne. — Chęć kupna: rezerwowana. — Usposobienie słabe. — Pogoda: łagodnie.

Wiedeń 13 stycznia. (Giełda towarowa). Cukier (stale) 18·60—18·70, 19·85—19·95. —Spirytus 36·40—36·80 (bez zmiany). — Nafta galicyjska bez zmiany.

Berlin 13 stycznia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·05. Spirytus 00·00.

Paryż 13 stycznia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 98·82 (exclusive kupon). Mąka („Fleur de Paris“) 30·70.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30). Wiedeń 13 stycznia.

Marki 117·61, renta majowa 100·00, węgierska renta koronowa 96·35, akcye: austr. zakł. kredyt. 678·00, węg. zakł. kred. 796.00, anglobanku 325.00, union banku 568.50, bankvereinu 565.00, länderbanku 444·25, kolei państw. 670·50, lombardy 121·50, akcye kolei Elbethal 448·00, fabryki broni 000·00, tytoniowe 528·00 alpiny 525·00, Rima Muranyi 528·00, prag. Tow. żel. 2590·00, losy tureckie 148.75, ruble 251.00. Usposobienie: słabsze.

Lwów 13 stycznia. (Z izby handlowej). Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 580.— do 586.—. Banku hipotecznego po 200 złr. 552.00 do 562.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron — 80. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. do 260.—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·50 do 000.00. 4 i pół proc. los w 50 lat 100.60 do 101·30, 4 proc. los w 60 lat 98·50 do 99·20 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 100·90 do 101.60. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 99·10 do 99.80, Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 99.00 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 99·00 do 00.00 4 proc. los w 56 lat 98·90 do 99·30.

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 99.60— 100·30 Bukowińskiego fund. prop. 5 proc. 102.30 do—.—. Komun. Banku kraj. 4 i pół proc. (Siej emisyi) 00.00—00.00. Komun. Banku kraj. (4ej em.) 99.00 do 99.70. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 99.00 do 99·70. Pożyczki kraj z roku 1873 4½ proc, —.— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 99.00 - 99.70 miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 97·30 do 98.00 4½% po 200 koron 100.50 do 101.20.

Ruch pociągów kolejowych.

ważny od 1 maja 1905 według czasu środkowo - europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***. 6.00, 8.50, 5.25, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2.30**, 7.20, 11.55, 5.30, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.00, 11.34, 5.15, 10.02*.
Z Czerniowiec: **12.20***, **1.40**, 6.10, 5.45, 9.10*
Z Kołomyi: 10.05.
Z Stanisławowa 8.05.
Z Rawy i Sokala 7.50
Z Jaworowa: 8.18, 4.32.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego 7·28, 11·45, 10·50*.
Z Tuchli 3·15 (od 15/6 do 30/9).
Z Bełzca 5·00.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **8.25**, **2.50**, 4.15*, 8.35, 6.35*, 11.00*
Do Rzeszowa: 4.10.
Do Podwołoczysk z dw. głów.: **2.00**, 6.30, 10·55, 9.00*, 11.05*; z Podzamcza: **2.13**, 6.48, 11.15, 9.28*, 1.34*.
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.10*.
Do Rawy i Sokala: 7.30*.
Do Jaworowa: 6.55, 5.58.
Do Sambora: 9.00, 4.20, 10.55*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 5.50.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05* (od 1/5 do 5/9).
Do Ławocznego 7.30, 2.55, 6.25*,
Do Bełzca 11.10.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

5)

Dwie królowe balów.

(Z francuskiego).

(Ciąg dalszy).

Krystyna była zręczna nad wyraz, a zręczność ta cechowała każde jej poruszenie. Walc zdawał się być stworzonym na to, aby dać jej sposobność roztoczyć i okazać w całym blasku wszystkie te powaby kobiety, których się przedtem można było tylko domyślać. Młodzieniec pochłaniał ją wzrokiem, podziwiając kolejno tę gibką i zgrabną kibić, zginającą się w jego objęciach, tę rękę długą, lecz tak wąską, że ginęła w jego dłoni; te cudowne ramiona, które wir walca cieniował lub opromieniał jasnem światłem.

Jednakże stopniowo pełna uroku muzyka, jarzące światło, upojenie wirem tańca, zbliżenie do swej piersi tego pięknego ciała, woń jej warkoczy, zrodziły w duszy Jerzego niepokój, którego od dawna nie doznawał. Od chwili, w której wmięszali się w wir tańcujących, nie wyrzekł ani słowa. Chciał przerwać to milczenie, które wprawiało ich w kłopot, i spojrzał na nią. Ożywienie tańcem zmieniło ją nie do poznania: na ustach błądził słodki, lekki uśmiech, lica, zwykle blade, pokryły się karminową barwą, jakby nagle róże młodości zakwitły na nich.

Poczuwszy wzrok, zatrzymany na sobie, podniosła ciemne powieki i zwróciła na Jerzego duże, piękne oczy, które zdawały się rozpływać w niebiańskiej rozkoszy zachwytu. Była w istocie więcej niż piękna, a każdy zwykły, pospolity komplement miałby dźwięk fałszywej nuty; Jerzy, domyśliwszy się tego, zamilkł.

Dopiero gdy odprowadził ją na miejsce, odezwał się:

— Weber, to wielki i wzniosły geniusz; nikt, mojem zdaniem, nie określił lepiej uczuć serca, jego muzyka jest jakby westchnieniem duszy.

— To zapewne z tego powodu pan milczy, gdy ją grają?

— Tak — odpowiedział — dlatego właśnie, że tłómaczy tak dobrze to, co czuję, obawiam się ją przerwać.

Krystyna usiadła i zwracając nań bystry rzut oka, rzekła:

— Utrzymuję, że Francuzi traktują dość lekko rzeczy poważne.

— Nie umiem pani tego powiedzieć — odparł — mieszkając od dawna za granicą.

W tej chwili zbliżyło się kilku znajomych Krystyny, a Jerzy, podziękowawszy jej głębokim ukłonem, odszedł do sali, w której tańczono.

— Doprawdy, hrabino — zaczął mężczyzna około lat czterdziestu, który ściskał dłoń pani Rudden w chwili, gdy pan Simiane się oddalał — nigdy nie widziałem pani taką, jak dzisiaj. Piękność twoja staje się niebezpieczną!

— Dla kogo?

— Dla mnie.

— Dla pana już od dawna jestem niebezpieczna.

— Niestety!

— I bez powodu, bo, jak wiesz, nie jestem kokietką.

— Na nieszczęście!

— A to dlaczego?

— Bo miałabyś pani jakąkolwiek wadę.

— Panie baronie, zaczynasz być Francuzem.

— Czy mam to przyjąć jako komplement, czy jako przycinek?

— Epigramatów tworzyć nie umiem, a komplementów nie lubię.

— Nie uważałem też tego za komplement, mówiąc pani, że nigdy nie byłaś piękniejszą.

— Tem lepiej — rzekła, śmiejąc się — chcę nią być.

— Ależ, hrabino! on dopiero co przybył.

— Szalony! — odpowiedziała Krystyna, ukrywając pod wachlarzem przelotny rumieniec.

— Moja biedna przyjaciółko — odparł baron z odcieniem melancholii — jesteś godną pożałowania, bo nie umiesz jeszcze kłamać.

— I to może przyjdzie z czasem — rzekła, śmiejąc się, lecz nie patrząc na niego. — Tymczasem każ pan przywołać moje sanki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Anna Lityńska

urodzona w roku 1830.

po długich a ciężkich cierpieniach zaopatrzona św. Sakramentami usnęła w Panu dnia 12. stycznia 1906 r.

W smutku pogrążeni syn i synowa zapraszają krewnych, znajomych i pobożnych chrześcian na obrzęd pogrzebowy, który się odbędzie w poniedziałek dnia 15 stycznia b. r., o godz. 3-ciej po południu z domu żałoby przy ul. Ormiańskiej l. 8 na cmentarz Łyczakowski.

Lwów, dnia 12 stycznia 1906.

„CONCORDIA" A. Karkowski Lwów, ul. Sobieskiego l. 10.

Dr. Bogorja Podlewski

Dr. praw, c. k. radzca Dworu i em. prokurator skarbu, członek Trybunału Stanu, b. prezes komisyi egzaminacyjnej oddziału sądowego, b. poseł do Rady państwa, właściciel dóbr, komandor orderu Franciszka Józefa, kawaler orderu Leopolda etc. etc.

urodzony w r. 18 6, zasnął w Panu, opatrzony św. Sakramentami, we Lwowie dnia 13 stycznia 1906.

Eksportacya zwłok z domu żałoby przy ul. Sykstuskiej l. 54 odbędzie się w poniedziałek 15 stycznia o godz. 10 rano do kościoła Maryi Magdaleny, a stamtąd po odprawieniu nabożeństwa na dworzec główny.

Pogrzeb odbędzie się w Czerniełowie mazowieckim (stacya Tarnopol) we środę dnia 17 stycznia o godzinie 12 w południe.

W smutku pogrążona wdowa, dzieci i wnuki zapraszają na te obrzędy, prosząc o Anioł Pański za duszę Zmarłego.

Ktoby chciał dać dowód pamięci, niech stosownie do życzenia Zmarłego, zamiast wieńca, ofiaruje datek na cel dobroczynny.

Lwów, dnia 6 grudnia 1905.

„CONCORDIA" A. Karkowski, Lwów, ul. Sobieskiego l. 10.

L. M. 123966/905

I. Dep.

Ogłoszenie.

Z dniem 30 czerwca 1906 r. upływa termin obecnego kontraktu o dzierżawę teatru miejskiego we Lwowie.

Celem wydzierżawienia teatru miejskiego na dalszy okres, mianowicie na czas od 1-go lipca 1906 do 30 czerwca 1909, względnie 1912 roku, zapraszam w myśl zasadniczej uchwały Rady miejskiej osoby reflektujące na tę dzierżawę do wnoszenia ofert, pozostawiając referentom przedstawienie warunków, pod jakimi byliby skłonni prowadzić przedsiębiorstwo teatralne.

Radzie miejskiej zastrzega się zupełną swobodę co do przyjęcia ofert, jak niemniej pod względem warunków przyszłego kontraktu.

Oferty należycie ostemplowane i opieczętowane należy wnosić na ręce Departamentu I-go Magistratu miasta Lwowa w terminie do dnia 31-go stycznia 1906 (sześć) godzina 12 w południe.

Bliższych wyjaśnień zasięgnąć można w Departamencie I Magistratu m. Lwowa.

Lwów dnia 21-go grudnia 1905.

Prezydent miasta

Michalski.

Odezwa.

Upoważniamy WP. St. Sokołowskiego właściciela Ajencyi dzienników we Lwowie Pasaż Hausmana 9 do zbierania wkładek dla Towarzystwa prywatnego Gimnazyum realnego w Zakopanem.

Wkładka wynosi 24 koron rocznie, albo 100 koron jednorazowo lub po 2 korony miesięcznie.

Nim powstanie samoistny Zakład naukowy, polecamy obecnie dla uczniów pensyonaty: „Leliwa" i „Jerzewo".

Imieniem Inicyatorów Towarzystwa

Prof. Świderski.

Zakopane 31 sierpnia 1905.

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza.